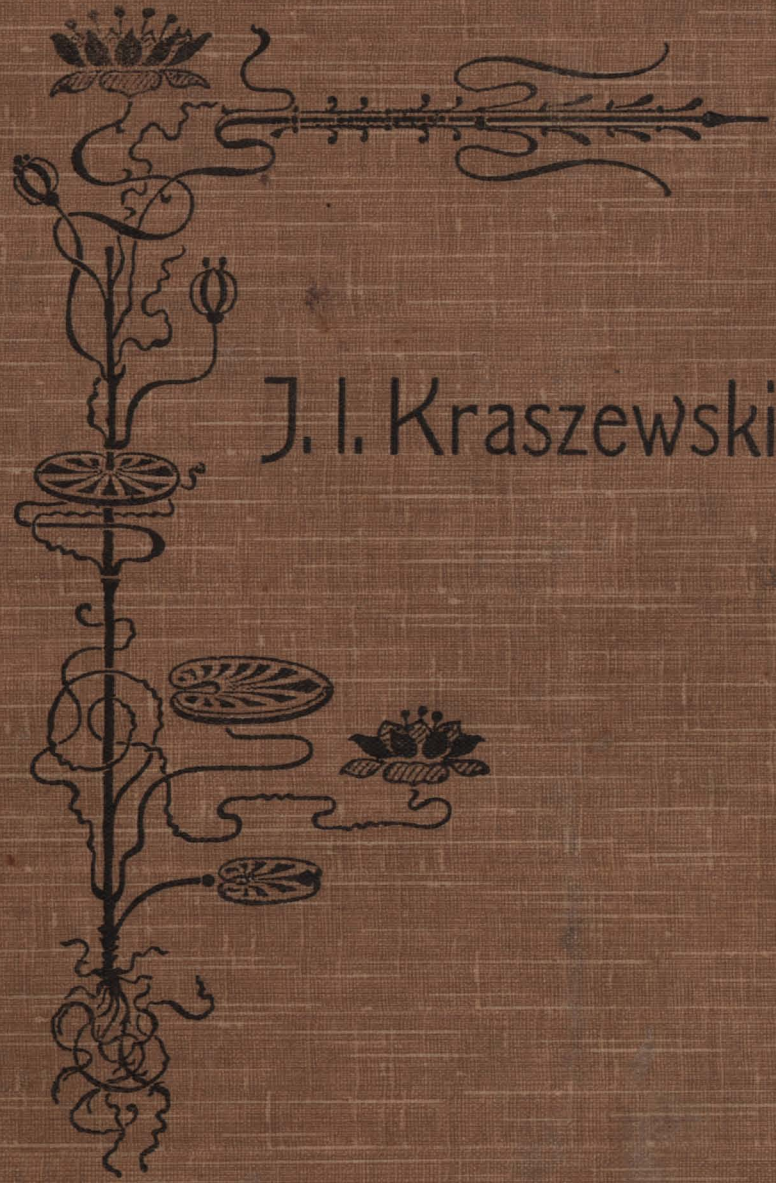


J. I. Kraszewski

sztofie, ale w nim zamknięta i zduszona. Z mowy tylko i ruchów gorączkowych poznać było można, iż się nieustannie hamować musiał, chytrości zażywając jako ten, co kilku panom na raz służąc, nie radby się wydać ze sromotnem swem zdradziectwem.

Jeżeli kto, to on Samuela jątrzył, a rad go był za swe narzędzie używać, nie dając mu tego poznać, podsuwając myśli, które za Samuelowe głosił, choć mu je narzucał. I z tą sprawą niżową, Bóg jeden tylko wiedział, kto ją pierwszy podniósł, choć się nią teraz Samuel jak dziecko lalką nową zabawiał i z nią nosił.

Spiski też owe, trucizny i zasadzki na króla i hetmana, o których tyle mówiono, nie zrodziły się w umyśle Samuelowym, który prędzej z nieprzyjacielem wstępnym bojem niż pokątnem knowaniem rad się był rozprawiać.

Ale Krzysztof umiał wmawiać w niego co chciał, i kota jak zażądał wywracać, tak że bratu białe czarnem, a czarne jasnem potrafił okazać. Lekkomyślny i namiętny Samko, gdy raz pochwycił co z ust brata a do serca wziął, jeszcze bujniej się to w nim rozrastało.

Najstarszy Jan, o którym wspominaliśmy że mu król pokonanie Gdańszczan zawdzięczał, mąż był już dojrzały i uspokojonego ducha, choć też samą krew, męztwo i umysłu żywość miał co i bracia.

Raz na inną wszedłszy drogę, już z niej nie zbaczał, stale się wytkniętej trzymając.

Co bracia jego na szarpanie się namiętne zużywali, Jan na stateczne postępowanie w jednym kierunku obracał. Był też i królowi miłym i Zamojskiemu niepodejrzanym, chociaż nie można rzec, aby blizkie pokrewieństwo z Samuelem i Krzysztofem na niego cieniu pewnego nie rzucało.

Musiał się tem baczniej pilnować, tem jawniej postępować, iż każdy wątpliwy krok, nieprzyjaciele rodziny Zborowskich przeciwko niemu też obrócić byli gotowi. Wiek w nim nieco krew ostudziwszy, już mu łatwiej dozwalał na wybranem trzymać się stanowisku.

Chociaż go ono w antagonizmie jawnym z braćmi stawiło, Jan nie rozbratał się wcale z nimi, utrzymywał stosunki i spodziewał się wpływem swoim powstrzymywać gdyby niebezpieczeństwo groziło, ratować gdyby w nieszczęście popadli.

Rzadki bowiem naówczas przykład był, aby się rodzina, nawet rozróżniona przekonaniami, rozpadła i nieprzyjaźnie przeciwko sobie występowała. Węzeł starodawny, święty, łączył z sobą rodzeństwa, a nawet dalsze gałęzie i odrośle z jednego pnia pochodzące.

Można więc wystawić sobie, jak bolesnemi dla Jana były wieści, które u dworu i po kraju o jego braciach chodziły, przypisując im straszne zamachy przeciwko panu i przeciw ulubieńcowi jego, hetmanowi. A im one nabierały większej dosadności, tem Jan bolał mocniej. Wreszcie pogłoska, iż Samuel na Niż się wybiera w chwili, kiedy szło o pokój z Turcyą, który łacno lada ruch kozacki mógł zakłócić, skłoniła Jana, jako głowę rodziny, do powołania braci na zjazd i radę, bo się spodziewał powagą swą warchoła powstrzymać, a podżegacza Krzysztofa zastraszyć.

Obu ich znał nadto dobrze, aby to łatwem sądził, nie mniej próbować kazało sumienie, bo rodzinie groziła zagłada i sromota.

Niechętnie może zgodzili się bracia na ten zjazd potajemny, który inaczej jak za oczami, w puszczy, odbyć się nie mógł, boby zaraz języki złośliwe poruszył i jako nowy spisek rzucanoby go im w oczy.

Przybywał oprócz wymienionych i czwarty brat Andrzej, którego inaczej oznaczyć nie można, tylko jako pośredniego charakteru pomiędzy Janem a Krzysztofem.

MUZEUM JIK W KOMANOWIE 305

Z młodu we Włoszech wychowany, ogłady wielkiej, dworzanin potem cesarza Maksymiliana, czem się rad chlubił, sprzyjał po kolei przy elekcyach to książętom włoskim, to Rakuszaninowi, ale i przeciwko Batoremu osobiście nic nie miał, choć go za małego panka uważał i lekko cenił. Życie znacznie w nim namiętności przytępiło, ale dumą urosnął wysoko i umysłem się nad rodzeństwo uważał wyższym, chociaż więcej ogłady miał z pozoru, niż istotnej wyższości. Ambicyi wielkiej i on też dotkniętym się czuł, nie piastując nic nad marszałkostwo nadworne, które ledwie za szczebel do wyższych dostojeństw uważał.

Pomiarkowania i wstrzemięźliwości słowa nauczył go pobyt za młodu na cesarskim dworze, więc z niego myśli prawdziwej nie było łatwo wydobyć inaczej, tylko naturę Zborowskich w nim budząc i drażniąc miłość własną.

Wybuchał i on, bo miał tęż samą krew co i bracia ale się rychlej hamował i nie puszczał sobie cugli, a nawet gdy się unosił, dworacka ogłada za daleko mu się posunąć nie dopuszczała.

Jak wszyscy oni się z sobą kochali, tak i Andrzej Samuela w wielu jego postępkach rozgrzeszał, bronił go i żarliwie stronę utrzymywał. Z Janem byli chłodno, ale szanowano w nim głowę domu. Zdanie marszałka nie wiele między braćmi ważyło może, ale je szanowano i dla tego zjazd się bez niego obejść nie mógł.

II.

Wielka izba gospody w Borówce, okopcona, ze ścianami, które od dymu palonych tu wieczorami skałek, miejscami czarno niemal połyskiwały, wszystkim czterem braciom służyć musiało za obozowisko.

W kominie i piecu palące się ognie, których czeladź pilno strzegła aby nie wygasły, oświecały ją nierównym, migocącym blaskiem.

Wzdłuż ścian, u ław i na ławach służba panów Zborowskich poskładała odzież, futra, płaszcze, kobierce, oręż kosztowny i co z wozów zdjąć dla użycia kazano.

Cztery kupy te, każda oddzielnie, tak się od siebie różniły, jak ich panowie. Najskromniejszą była najstarszego z nich Jana, najnieporządniej narzucona, ale najwytworniej błyszczącą Samuela. Ten bowiem, jak o głodzie i chłodzie wytrwać umiał, gdy było potrzeba, wesoło, czego przy wojsku dał dowód, tak czasu sposobnego niczego sobie nie żałował, a gdy ptasiego mleka zażądał lub coby na wagę złota nabywać trzeba, mieć musiał. Przychodziły mu fantazye takie do stroju, który raz niepomiernie bywał świetnym, to grubym prostym i zaniedbanym. Z orężem też bawił się, można było powiedzieć, jako dziecko, bo mu niekiedy hiszpańskich zbroi szmelcowanych było potrzeba, za które pożyczanym groszem przepłacał, to potem wschodnie szable skupywał, albo płatnerzy z Niemiec sprowadzając, wedle własnego pomysłu kuć i szmelcować kazał.

A co jednego dnia za ostatni grosz nabył, często nazajutrz, gdy go kto prosił, oddawał, już żadnej do zdobyczy tej nie przywiązywał wagi.

Takim we wszystkiem był ten człowiek.

Kasztelan gnieźnieński tylko z sobą wiózł, co nie-

zbędnie dla wygody potrzebnem było, a na okaz nic nie miał; ale mu za to nie brakło na tem, co w niepewnej porze roku zdrowie zachować mogło.

Marszałka podróżny wybór odznaczał się wytwornością skromną, lecz wszystko tam było jak najlepsze, najdroższe i wypróbowanej wartości.

Wreszcie pana Krzysztofa sakwy i rzeczy chyba się tem odznaczały, że w nich widoczne skąpstwo obok chęci popisu biło w oczy. Więc nie doborem, ale jaskrawością a lichotą Samuela do śmiechu pobudzały podróżne przybory pana brata, co Krzysztofa do gniewu pobudzało.

Ponieważ na pustyni nic się znaleźć, nawet chleba, nie spodziewano, każdy wiódł z sobą zapas śpiżarniany, kołacze, baryłki z winem, każdy miał kuchtę między czeladzią i wóz dobrze nabity. Ale pan Samuel z tą butą, która go odznaczała, oświadczył zaraz, że choćby nazajutrz głodem miał mrzeć, on dziś panów braci do swojego stołu zaprasza. Okazało się, że na jego wozach była zwierzyna, marynowane ryby, solone i wędzone mięsa, wina i miodu poddostatkiem. Nawet zastawa stołowa, jak na podróżną biesiadę, za wytworną uchodzić mogła. Misy i półmiski cynowe, takież talerze i dzbany, kształtami pochodzenie swe niemieckie zdradzały. Do wina kubków srebrnych pozłocistych i dzbana podobnego nie brakło, a nawet obrus nie jednejby gospodyni zazdrość obudził.

A gdy misy i półmiski na stół przynosić zaczęto, rozeszła się taka woń korzennych przypraw nęcąca, iż się jej oprzeć było trudno. Wspaniale tak i po pańsku występować lubiał Samuel, ale służba świadczyła, że czasu podróży lub łowów całe dnie o suchym chleba kawałku spędzał lub głód znosił tak wesoło. jakby mu zwycięztwo to nad sobą wielką sprawiało radość.

Od pierwszego powitania bracia, prócz tego co się ich rodzin i osób tyczyło, nie rozpoczęli rozmowy o tem,

co ich tu sprowadzało. Chociaż wszyscy taką tylko służbę i czeladź mieli tu z sobą, której się strzedz wcale nie potrzebowali, woleli za konsensem powszechnym odłożyć rozprawę do chwili, gdy dwory ich i czeladź z kolei do jadła zasiędą i podchmielą sobie, aby ich zbytnio nie podsłuchiwali i nie szpiegowali.

Zeszło więc tak do wieczora późnego przy kubkach na obojętniejszym gwarze o pospolitych sprawach, choć i tu o królu już i o hetmanie nie zapomniano.

Naostatek podniósł się z ławy Jan kasztelan gnieźnieński i posiwiałą głowę musnąwszy dłonią, okiem rzuciwszy do koła stołu, przy którym siedzieli, ozwał się półgłosem.

— Czas do rzeczy przystąpić... Pozwaliśmy cię tu, Samku, w sprawie tego Niżu, o którym ludzie już plotą, że się tam na przekorę królowi wybierasz. A po co przeciwko nam drażnić, gdy i tak dosyć ma niechęci, i co imię Zborowskich nosi, już mu podejrzane. Przytem, z tego co o Niżu wiemy, trudno wam wróżyć sukcesu. Zawichrzyć tam łatwo, a z chłopstwem ladajakiem, choćby hetmaństwo nawet od niego czekało, nie przystało Zborowskim wchodzić w przymierze...

Samuel słuchał uśmiechając się i twarz mu drgać zaczynała, bo już pilno było wystrzelić odpowiedzią. Wszelako bratu starszemu chciał się dać wygadać.

Jan prędko skończył.

— Jeżeliś myśl tę miał na Niż do kozactwa jechać, rzuć ją z lichem, na nic się nie zdała...

— A zkąd wy, panie kasztelanie, ów Niż znacie, że o nim tak prawicie, jakbyście tam byli i naocznie się przekonali, że ono kozactwo do niczego?

Chłopi są! mówicie, są i chłopi, nie przeczę, ale swobodni, a swoboda to wielka mistrzyni, daje im takiego ducha, jakiego nie jednemu szlachcicowi, przyszłoby im zazdrościć. A no nie samo tam chłopstwo na tych ostrowach i po tym stepie się zbiera; siła jest naszych

braci, którzy doma sobie przykrzyli, albo od pomsty i sromoty głowe ratując pouciekali.

To pewna, że ono kozactwo odważne, sprawne i na lądzie i na wodzie wojownicy dzielni, i tylko wodza im brak, aby z nich siłę stworzył, która nie samemu Turkowi i Tatarzynowi straszną będzie...

Przytem ich ostrowy i kamysze są taką twierdzą, że tam ich ścigać i dobywać nie może nikt... bezpieczni są.

Co za dziw, że się takiemu wojsku hetmanić zachciewa...

Ono to jest ciasto, z którego dobra gospodyni kołacz upiec potrafi.

— A ty tą gospodynią być myślisz?—podchwycił z litościwem niedowierzaniem kasztelan. — Znamy się przecie i ja ci wielkich przymiotów, męztwa, rzutkości, rycerstwa zaprzeczać nie myślę, a no na wodza abyś potrzebne kwalifikacye miał, tego i miłość braterska nie potrafi przyznać.

Samko się cały poruszył i zadrgał, jakby go smagnięto.

— Myślicie tak, boście mnie wodzem nie widzieli — zawołał — ale ja w sobie czuję to, panie bracie, że czem zechcę być, tem potrafię.

— Dużoś rzekł—odparł Jan spokojnie—a daj Boże, aby w tem choć odrobina prawdy była. Jabym się temu cieszył, Bóg świadek.

Pierwsza, czem nie potrafisz być, choćbyś chciał, to—karnym i posłusznym!

Samuel rozśmiał się rozbrojony.

— Ba!—zawołał—na to zgoda... a no, Zborowskich we mnie krew. Jarzma ona nie cierpi.

— A o tem nie wiesz — rzekł Jan—iż kto słuchać nie umie, ten rozkazywać nie potrafi.

— Kto to powiedział?—chmurno zapytał Samuel.

— Doświadczenie wieków—dodał kasztelan.

— Może ono być rzetelnem — przerwał Samuel chmurno—ale się stosuje do pospolitych ludzi. Nie zaprzeczycie mi, że są wyjątkowi, że takim ze krwi i rodu hetmaństwo się należy, a nie posłuszeństwo. Ja w sobie czuję, że do gminu się nie liczę.

— Nikt z nas też—dodał Andrzej — nie zechce do niego należeć, i pan kasztelan też pewnie nie ostatnim się czuje.

Zamilkli wszyscy.

Rozmowa dotąd pomiędzy Samuelem a Janem zagajona nie weszła na tor właściwy i kasztelan to zrozumiawszy zwrócił w inną stronę.

— Mniejsza o hetmaństwo — rzekł—i o to, czem się kto czuje, nas tu sprawa wspólna familii ściągnęła. Za tego panowania, na którem najpiękniejsze pokładaliśmy nadzieje, stoimy z każdym dniem coraz gorzej. Nie mówię tego o sobie, bo się trzymam jak mogę, aby i was w potrzebie ratować, ale i wy wszyscy poszliście takiemi drogami, które do zguby wiodą.

Samuel i Krzysztof spojrzeli na siebie i porozumieli się wzrokiem. Chciał mówić Samuel, lecz postrzegłszy, iż Krzysztof do odpowiedzi się gotuje, zamilkł, oczy zwracając na niego.

— A kto nas na te drogi wpędził?—zawołał Krzysztof. — Nie dobra wola, a konieczność, prześladowano nas, prześladują, a co za dziw, że na wszelki sposób bronić się usiłujemy?

Wyrazy te wymówiwszy tonem umiarkowanym, w którym pewien przymus i powstrzymywanie się czuć było, nagle pan podczaszy rzucił się, jakby ciężar jakiś z ramion strząsnąć chciał, wlepił oczy w kasztelana i począł głos podnosząc.

— Co my tu z sobą, pomiędzy braćmi w ciemną babkę grać będziemy! Ja się za język kąsać nie myślę, i wolę odrazu z serca zrzucić, co na niem mam. Pomiędzy nami, kasztelanie, choć bracią jesteśmy, przepaść się

otworzyła. Wy tego wilka siedmiogrodzkiego, tego przeklętego węgra, który na zgubę naszą na tron się wdrapał, wenerujecie i słuchacie, wy do jego rady należycie, wam wszystko dobre, co on czyni, albo służka jego hetman... a my, myśmy ich nieprzyjaciele, wrogi zdeklarowane i z tem się przed wami taić nie myślimy.

Jan ten wybuch, choć twarz mu się krwią oblała, przyjął z powagą wielką, nie sierdząc się, gdy w Krzysztofie już paliło się i kipiało.

— Mówicie: my, panie podczaszy—odparł zimno—któżto z wami, azaliście wszyscy tego przekonania?

Samuel pierwszy butnie krzyknął.

— Ja z Krzysztofem trzymam. Wrogi to nasze są, mało tego, wrogi są wolności naszej i rzeczypospolitej, okiełznać nas chcą i w kajdany zakuć!

Andrzej który oczy miał spuszczone i namyślać się zdawał, dodał z kolei:

— Prawdę mówi! Temu zaprzeczyć niepodobna, że oni prawa i przywileje nasze łamią i depcą. Co im sejm? co im uchwały? Baliśmy się rakuszanina, cesarza, że na nasze swobody czyhać miał, a gorzej się stało, żeśmy to małe i ubogie książątko wzięli, bo ten z pomocą hetmana wprost do *absolutum dominium* kroczy. Toć to jawne. A jakże my to znosić mamy?

Albośmy to jedni? Spojrzyjcie po wszystkich ziemiach rzeczypospolitej i posłuchajcie. Jeden jest głos: jeżeli król pożyje a potrwa, wiekowe nasze *libertates* przepadną. Do tego wszystko jawnie zmierza.

Kasztelan się zmarszczył, głową potrząsał.

— Mam ja też oczy—rzekł — prawa tej rzeczypospolitej a nasze tak mi są drogie jak i wam, tego zaś, co mu zadajecie, nie widzę. Groził bunt Gdańszczan, za któremiby poszło Pomorze, co miał czynić król, dla warcholęcej szlachty dać nam przepaść? Musiał przebojem iść, aby rzeczpospolitę ocalić i ocalił ją i orężowi jego

Pan Bóg pobłogosławił; a gdzież są te swobody, które wam odjęto?

Krzysztof ledwie mu dał dokończyć, zapalił się okrutnie.

— Wyście, panie bracie, już ich nie naszym — krzyknął—ślepi jesteście dobrowolnie, trudno wam oczy otworzyć. Niebywałe rzeczy dzieją się u nas. Ścięto Ościka, na innych się odgrażają, że im też na gardło nastaną, Pospolite ruszenie zwołują samowolnie, pobory dawać zmuszają, a już im dawnego żołnierza, co przez tyle wieków bronił i zasłaniał, nie dosyć, zaciągi robią z prostego chłopstwa, cudzoziemców jurgieltami zwabiają, piechoty jakieś wystawiają. Na nieprzyjaciela to potrzebne, mówią, przeciwko twierdzom jego... a co innego myślą. Żołnierz obcy, gdy siła go będzie, na nas się obróci i szlachtę zdusi. Jako żywo go nie przeciw Moskwie zbierają, ale przeciwko nam.

I my to cierpieć mamy, nie myśląc zawczasu o obronie? Cha! cha!—rozśmiał się podczaszy.

— Wymysły są i potwarze — odezwał się kasztelan. — Ja z wami o tem rozprawiać się nawet nie myślę, bo nie widzę niebezpieczeństwa, a patrzę na tryumfy. Połock odebrany...

Chciał mówić dalej, ale mu Krzysztof nie dopuścił.

— Tak samo jak wam z nami, tak nam z panem kasztelanem spierać się trudno, bośmy dwu obozów ludzie, a one nieprzejednane są. Wasz pan wrogiem jest naszym i my się z tem nie taimy, że przeciwko niemu cokolwiek możemy czynić, przedsiębrać, cokolwiek na jego szkodę zgotować potrafimy, nieomieszkamy!

Samuel potwierdził żywo.

— Jam tejże wiary co i Krzysztof — zawołał — a mam może ku temu jeszcze więcej niż on pobudki. Któż to pierwszy temu wilkowi, gdy siedział w swej jamie, myśl tę poddał, że się o tron polski kusić może i ku

niemu obrócił ludzi? Skorzystał z tego, Bóg zapłać mi nie powiedziawszy.

— A gdybyśmy byli rakuszanina się trzymali i na tron go podnieśli—wtrącił Krzysztof—dopierobyście widzieli, jakby nasza rodzina urosła. Mybyśmy teraz i hetmańską buławę i krakowską pieczęć mieli, nie licząc pieniędzy i starostw. Mybyśmy tu rej wiedli, jak nam zdawna należy.

Andrzej głowę skłonił.

— To pewna—rzekł—że on nam żadnych nie przyniósł korzyści. — Hetmanów takich u nas siła, pieniędzy nie dał, bo ich sam nie ma a zapożyczyć się musi, przymierza i siły żadne nie dał nam.

Samuel się złośliwie uśmiechnął.

— A no, uczynił nam to dobrodziejstwo wielkie, że starą królewnę, której nikt nie chciał, zaślubił. I to mu się policzyć powinno, bo żona nie do zazdrości i nic mu po niej.

— W miejsce jej znajdzie sobie w Grodnie dziewkę—rzekł Krzysztof—a siła takich na dworze ma, co mu ją przywiodą, tak jak nieboszczykowi Zygmuntowi prowadzili, aż te czarownice i lubownice życie z niego wyssały.

Kasztelan z pogardą głowę odwrócił, nie chcąc nawet odpowiadać, więc Krzysztof coraz bardziej poruszony mówił dalej.

— Jeżeli wy nas, panie kasztelanie, nawrócić myślicie na wiarę waszą, kortezańską, mylicie się srodze. Nie pójdziemy za wami ale przeciwko wam, a wszystko co na wilcze zęby potrafimy, czynić nie omieszkamy.

Spokojnia się podniósł z siedzenia Jan i przez okno nie daleko będące na ciemną noc spojrzał, jakby dnia szukał, mówiąc.

— Ja tu z wami nie mam już co czynić, a buntowniczych mów waszych słuchać mi grzeszno. Czyńcie co się wam upodoba, kiedy was do rozumu i statku

przywieźć nie można, a będzie-li z tego srom i nieszczęście nie moja wina, umywam ręce.

A nie myślcie, że wy z waszymi pokątnymi kontraktami i spiskami coś zdołacie. Mają na was oko, chodzą za wami i około was ludzie... żadnego nie uczynicie kroku, aby o nim nie doniesiono, bo Zamojski wie dobrze, co o nim i o królu trzymacie. Więc to wam zapowiadam głośno i wyraźnie, naprawić się nie chcecie, ja z wami nie trzymam. Boleje serce braterskie, ale Bóg świadek, gdym uczynił, co powinność nakazywała, dla miłości waszej dalej nie pójdę.

— Nie chodzi tu o samą miłość naszą, panie bracie— począł na nowo Krzysztof—ale o naszą rzeczpospolitę całą, którą na turecki regiment chcą przerobić, na co my, choćby gardła przyszło dać, nie pozwolimy.

— Gardła dać łacno — rzekł wzdychając kasztelan — dał je Ościk... nie pofolgują i panom Zborowskim, gdy się okaże, iż podczaszy do Cara listy posyła...

Krzysztof się zarumienił i milczał,

— Małoć było z cesarzem knować i rakuszaninowi służyć—ciągnął dalej kasztelan—z Moskwą też wchodzisz w traktowania...

— Nieprawda! — bąknął podczaszy—bo żadnych jeszcze umów nie było, a do kogo się zgłaszają koronowani, przecież milczeniem ich zbyć nie może.

Kasztelan ręką rzucił, jakby dzisiejszy spór za próżny uważał.

— I rakuszanina i Cara moskiewskiego bym wolał —mówił dalej podczaszy—niżeli tego cygana, który nam nie przyniósł nic, krom pięści.

— Zdałaćby się i ona na warchołów — zamruczał Jan — lecz co o tem z wami rozprawiać. Dajmy sobie pokój, Dla mnie co król robi dobrem jest i zbawiennem, dla was zgubnem! Przybyłem na zawołanie, jak mi powinność nakazywała, bom starszy w rodzie i głową

waszą, ale słowa moje jako groch o ścianę, marnować ich nie myślę.

To mówiąc i już trochę zniecierpliwiony wstał w ręce klaskając na czeladź.

Ta, chociaż w pobliżu była, ale właśnie biesiadowała, i choć kasztelan po kilkakroć powtarzał niecierpliwe klaskanie w dłonie, nikt nie nadchodził.

Dopiero, w chwili uciszenia, usłyszał ktoś i wbiegł z czeladzi pana Samuela wyrostek.

— Wołaj mi Kubełkę mojego! — odezwał się kasztelan.

Milczeli wszyscy, gdy się zjawił stary sługa.

— Jak świt mi konie gotować — rzekł Jan do stojącego u progu — napoić i karmić zaraz, abym nie czekał. Wracamy pilno.

I ucichł.

Po odejściu sługi trwało jeszcze czas jakiś milczenie, ale z ruchów pana Samuela i Krzysztofa widać było, że na siłę się powstrzymywali od sporu ze starszym bratem, który obu rękami sparłszy się na stole, zadumał, oczu nawet na nich nie zwracając długo.

Dopiero po tym milczącym, przeciągnietym przestanku, kasztelan się do Andrzeja zatopionego w sobie obrócił.

— Ani Samuela krwi gorącej, której impet już przypłacił — rzekł poważnie—ani młodemu podczaszego rzucaniu się bez rozwagi, nie dziwuję się, ale wy też z nimi trzymać myślicie?

— Pan Andrzej usta podniósł i zwrócił się ku kasztelanowi.

— Wy to wszystko — rzekł — na karb krewkości kładziecie, a nie widzicie tego, że oni nie jedni są przeciwko królowi i hetmanowi. Mało rzeknę, gdy połowę rzeczypospolitej do naszego obozu zaliczę. Milczy wielu, bo im strach zamyka usta, ale myślą tak jak my, a po-

śliznęłaby się jeno stopa węgrowi, dopierobyście posłuchali, co o nim trzyma szlachta i jak go kocha.

Tyran jest, samowola, ciemiężnik. Nie okiełznał nas jeszcze, bo czasu nie miał, a no poczekajcie mało, ani nie spostrzeżecie, jak popadniemy w niewolę. Kajdany nam kują jawnie, a my tego widzieć nie chcemy. Wskazywał pan Krzysztof na owe piechoty cudzoziemskie i chłopstwo zaciągane do wojska, nie przeciw komu, tylko na zgubę naszą.

Dlatego na nowe pułki pieniędzy nie żałują, bo one przeciw swobodzie naszej stają. Wybije godzina, rozpędzą radę i sejm i za łeb nas pochwycą.

Jakże my się nie mamy bronić i wszelkich środków zażywać, aby ta wolność, na którą wieki pracowały, dla dzieci się naszych uchowała.

— Wolność, ale nie swawola—podchwycił kasztelan.—Jakże my przeciwko naszym nieprzyjaciołom obronić się potrafimy, gdy w domu posłuszeństwa i ładu nie zrobimy.

— Tożeśmy wieki tak przetrwali! — zawołał Andrzej.

— I Połock stracili, który w rękach Moskwy przez siedemnaście lat zostawał, i pokoju nie mieli nigdy na granicach, a Tatarom się opłacać przyszło, a z Wołochy nic poradzić nie umieliśmy. Ale to jest król i pan, który poprzysiągłszy *integritatem* rzeczypospolitej i rekuperacyę, chce swojej przysiędze uczynić zadość.

Andrzej się rozśmiał, głową potrząsając.

— Jużci Sygoniuszowemu uczniowi a padewskiemu rektorowi na argumentach nie zbraknie, aby się oczyścić—rzekł szydersko—ale to blichtr jest a despotyzm jawny nam grozi...

— Dlatego też — wybuchnął gwałtownie Krzysztof — co w naszej mocy jest czynić będziemy, aby się i pana i sługi pozbyć. Wszystko nam dobre, bo o rzeczpospolitę idzie. Zbrodniarzy na nią sidła zastawujących,

wolno tak zgładzić w obronie praw naszych, jak pospolitego złoczyńcę.

Kasztelan słuchając obie ręce podniósł ku niebu, jakby je na świadectwo wzywał, ale nie odpowiedziawszy nic, dłońmi sobie uszy zatknął, aby dalej nie słuchał, co Krzysztofa nie powstrzymało, który ciagnął dalej.

— Nie o Samuela banicyę, ani o sponiewieranie rodziny naszej mścić się będziemy, boby to prywatą było, choć i ta człowiekowi krewkiemu wybaczona, ale niewoli cierpieć nie chcemy i nie możemy.

— A któż was stróżami swobód uczynił i polecił wam pilność nad niemi?—zapytał kasztelan. — Są na to senatorowie i rada, są sejmy...

— A gdy senatorowie ujęci lub zastraszeni, rada milczy, sejmy napróżno rekryminują, bo ich cale słuchać nie chcą, więc każdy pojedyńczy człek, miłujący kraj, powinien go ratować—rzekł Samuel.

— Samku!—z pewnem szyderstwem przerwał kasztelan. — Samku! nie ubieraj się ty za instygatora przeciw drugim, gdy sam na sobie tyle masz, że nie wiem jak to dźwigniesz... Wielkie słowa, ale prywata z nich patrzy, choć się jej zapieracie.

— Ja się jej zapierać nie będę – począł Krzysztof. —Królem się on zowie, choć nie wiem, czy tego imienia godzien, ale ja go człowiekiem tylko widzę przeciwko sobie i nieprzyjacielem. Trafiałem do niego różnemi drogami, znać nas nie chce, odpycha... więc ja to mam zjeść i strawić a upokorzyć się! Nigdy w świecie! Wypowiedział mnie wojnę, nam wojnę, będzie ją miał.

— Na proch i miazgę was zgniecie! — zawołał kasztelan, którego glos przybrał żałosną intonacyę. — O! bracia moi najmilejsi! — dodał — skruszyć się dajcie i opamiętać, proszę was. Dusza moja przeczuwa klęski straszne i sromotę dla rodu naszego wielką, którą upór nierozumny ściągnąć może. Dajcie mi się ubłagać, uprosić, bo nie narzucam wam woli mej, choć głową jestem,

ale proszę i suplikuję, zaniechajcie tych odgróżek, tych knowań i wyzywania, albowiem klęskę wywołacie. *Vana sine viribus ira*, a gdzież siły wasze? Ani wy, ani my, gdybyśmy naszych powinowatych, Jordanów, Stadnickich, Tarnowskich, Ossolińskich pościągali, gdyby oni wszyscy z nami iść chcieli, a nie pójdą, nie uczynim mu nic, zgniecie nas... Nie pracujcie na własną zgubę!

Błagającym tonem, niemal płaczliwie, a z powagą rodzicielską, łamiąc ręce, mówił kasztelan, ale na żadnym z braci wrażenia nie uczynił. Samuel nieznacznie się uśmiechał, Krzysztof miotał niecierpliwie, Andrzej siedział zimny i wcale nieporuszony.

Poczekawszy chwilę, a widząc że się tu już niczego spodziewać nie może, westchnął stary, sparł na ręku i zmienionym tonem spytał Samuela.

— A dzieci twoje kędy są? wiedzą one o tem, że się ty kozackiemu motłochowi dobrowolnie w ręce rzucasz, że na kresy idziesz bez siły, jaka tam potrzebna, gdzie lada kupa z Budziaku wybiegła o wolność i o gardło i o całe mienie cię może przyprawić, bo, uchowaj Boże niewoli, bez okupu nie puszczą. Cóż na to synowie twoi, co twoja ulubiona Anusia?

Zmarszczył się, nagle zmitrężony wielce tem pytaniem Samuel.

— Ja się dzieci nie nawykłem radzić, gdy mam co poczynać—rzekł dumnie—boć więcej rozumu nademnie nie mają.

— Ale ich miłość ku wam, natchnęłaby radą dobrą—rzekł kasztelan.—Chcesz je więc przed czasem sierotami uczynić?

Ruszył ramiony pan Samuel.

— Tej ja aprehensyi na Niż się wybierając wcale nie mam — odparł — ginąć nie myślę, ale się salwować. Cóż jeśli kozaków ujmę i pod buławę swą zaprzęgnę. Natenczas i król i rzeczpospolita pokłonić mi się będą musieli, bo im pod bokiem siadłszy, albo dokuczyć lub usłu-

żyć potrafię. W kraju mnie znać nie chcą, miejsca tu dla Samuela nie ma, poszukać go więc musi, choćby między tymi zbiegami, którym głowa i wódz potrzebny.

A nie myślcie, aby kozactwem tem pogardzać się godziło, wiem że go siła jest po ostrowach na Dnieprze, a czajki ich, gdy je trzciną obszyją, na morze wybiegają i Turkom dojadają i łupy zagarniają wielkie, a w skarbcu u nich może więcej złota i srebra niż w naszym koronnym, który pożyczkami zasilać się musi.

Jeżeli myślicie, że ja pozyskanie sobie onego kozackiego hetmaństwa mam za rzecz małą a lekką, mylicie się. Wiem dobrze, iż nie zdobędę władzy nad nimi nie przymarłszy głodem i nie folgując ich grubym obyczajom, alem się na to z góry ważył.

Kasztelan słuchał cierpliwie.

— Bóg z tobą—rzekł—chcesz na Niż, choć powrócisz z niczem, a daj Boże z życiem tylko, wola twoja. W tem jeszcze tak wielkiego grzechu nie będzie, swawola tylko i buta szlachecka... a no przynajmniej spisków, konszachtów i owych knowań pokątnych, o które was obwiaiają, zaniechajcie. Ciągle na was donoszą, że to truciznę gotujecie, to zasadzki układacie, to się z nieprzyjacioły znosicie. Skończy się na tem, że jedna kropla przepełni naczynie i Samku ty albo Krzychnik (tak w rodzinie zwano Krzysztofa) nałożycie głową.

Podczaszy się rozśmiał.

— Ja swej bronić będę — rzekł — a gdy mi tu za gorąco będzie, do cesarza zjadę, w którego służbę jestem wpisany, lub choćby do moskiewskiego.

— Cóż z szalonymi rozprawa! — westchnął powstając z ławy kasztelan.—Jam tu już niepotrzebny, swoje spełniłem.

W oknie wczesny brzask dnia poprzedniego sinem światełkiem się zwiastował, ale pora się obiecywała wilgotna i słotna. Niebo było obłokami zaciągnięte.

Znużony czuwaniem kasztelan sobie kazał zagrzać

winnej polewki, a Samuel nowy dzban małmazyi postawiwszy na stół, sobie i braciom, krom Jana, ponapełniał kubki i wesoło pił pocichu zdrowie przyszłego pana hetmana niżowego. Stuknęli nimi aż zabrzękły i pan Samuel swój duszkiem wypiwszy natychmiast go na nowo napełnił.

Kasztelan już całkiem był zajęty swym wyborem w drogę, nie na pogróżkę tylko objawiwszy postanowienie odjechania od braci. Widział on, że tu już nic nie pocznie, a sprzeciwiając się im, podrażni tylko.

W milczeniu naprędce polewkę wypiwszy, gdy stary sługa się zjawił u progu, opończę lekkiem futerkiem podbitą podać sobie kazał.

Bracia patrzyli na tę ucieczkę obojętnie, ani się go wstrzymywać starali. Owszem pana Samuela wesołość rosła, bo się swobodniejszym czuł, gdyby starszy brat z rozumem i rozwagą swą odjechał. Żegnali się milcząco, ledwie sobie ręce podawszy. Dopiero przeprowadzający do progu Samko uczuł się wzruszonym, gdy już Jan, którego nawykł był jak ojca szanować, miał wynijść. Rzucił się go ściskać serdecznie, ale zapóźno...

Kasztelan przyjął tę czułość zimno, nałożył kołpak na głowę i w chwilę potem kotcze jego, konie i wozy i on sam już ciągnęli ku Krakowu.

Trzej bracia pozostali sami na Borówce.

III.

Gdy owego mentora nie stało, zaraz jakby wiatr inny powiał po trzech młodszych, wielki kamień spadł im z piersi.

Samuel, który żegnając w progu kasztelana, powieki miał zwilżone, otarł je raźno, bo u niego płacz i śmiech

chodziły łacno w parze, i naprzód kubek wychyliwszy głos podniósł.

— Niech zdrów jedzie stary, który się już do tych dzieł nie zdał, gdzie potrzeba żywszego animuszu. Wiek ma prawa swoje, myśmy, chwalić Boga, jeszcze inni, to też swobodnie się teraz naradzić, nic nie zakrywając możemy.

Nie tylko on, ale i pan Andrzej, który wprzód trzymał wzrok spuszczony, a mówił nie wiele, spojrzał śmielej. Krzychnik wstał i pasa rozwiązał.

— Na kasztelana — rzekł — ja tylko tyle rachuję, że gdybyśmy popadli w matnię, bronić nas będzie i nie opuści, choć z nami nie był... a do roboty ciemnej on się nie zdał. My zaś teraz innej jak ciemną podejmować nie możemy, bo nam jasną zasieczono.

Złowrogo prorokuje Jan, ale on z innej strony na to patrzy i tego co my nie widzi. Kręci się tam, kędy około króla i hetmana posłuszni sami słudzy, a my widzimy i słyszymy, co się po obszarze tej rzeczypospolitej dzieje. Płacz i zgrzytanie zębów.

Żaden z królów się na to nie ważył, co ten goły pan o wilczych zębach. A no nie byłby on taki, gdyby nie szarak, gdyby nie pan Zamojski. Ja spełna nie wiem, kto z nich panuje, i czy Zamojski hetmani u Batorego, czy Batory u Zamojskiego! Bez niego onby kroku nie stąpił. Gdyby dziś się udało Zamojskiego zgładzić, jutroby albo Batory do Siedmiogrodu uchodzić musiał, albo innym być i tak nam skakać, jako my mu zaśpiewamy.

— Święta prawda — potwierdził Andrzej — ale na hetmana się porwać trudno, bo wszędzie swoich ma i szczęście mu sprzyja, a na męztwie i chytrości nie zbywa.

— Choć trudno, przecie się ich pozbyć musimy, *periculum in mora*—zawołał Krzysztof — a no, to nas w chłopy obrócą. Co tu szeroko wykładać, widzicie sami. Te pułki chłopskie i cudzoziemskie, niech co chcą gadają, że im piechota potrzebna, a szlachcic z konia

zsiadłszy do niczego... te pułki na nas są wymierzone... nimi gdy wskażą, mogą i sejm rozpędzić.

— Nie ważą się!—zamruczał Andrzej.

— Odwaga im rośnie naszą głupią pokorą — ciągnął dalej Krzychnik. — Dziś się nie ważą może, a za jutro ja nie ręczę.

Zważcież co czynili po moskiewskich wyprawach, aby despekt starej szlachcie wyrządzili. Posłuchajcie pana Bartosza Paprockiego, gdy liczyć zacznie, ile oni tam na poczekaniu nowej szlachty nakreowali z lada drukarzy i puszkarzy, mieszczaństwa i gminu. W zawody król swoim herbem, Zamojski połowicą swego obdarzał, a to wszystko dlatego, aby z tych łyków sobie wiernych sług pomnożyli. Mają oni prawo do tego czy nie, nie pytają, tak jak i w innych sprawach, król i hetman, okrom swej woli, mało kogo do rady przypuszczą.

Czem to pachnie, to my wiemy, ale nie my też jedni, mamy takich dość, co z nami trzymają.

— Po całym kraju malkontentów siła—dodał Andrzej—temu zaprzeczyć nie można, ale trwogę taką rzucili Ościkiem na ludzi, a hetman tak głośno zapowiedział, że nikogo szczędzić nie myśli, iż teraz ci, co najwięcej ich nienawidzą, najpodlej milczą.

— Bo się nie mają do kogo przyłączyć, a sami słabymi się czują—odezwał się Samuel. — Ja na Niż, bo to już u mnie postanowione, a Krzychnikowi przypada w domu motać i gotować.

— Jakby było z kim—westchnął podczaszy—jam nie od tego. Choć jeszcze nie wiem sam, na czyją korzyść i stronę się przechylę i działać będę, ale to pewna, że spać się nie położę. Na cesarskim dworze jakom miał związki, tak je zachowałem, z moskiewskim począłem zmowy, ale przez posły wilk nie tyje, nie wiedzieć zkąd wziąć i do Moskwy się boję gorzej może niż do Turka. Sprawa nie łatwa. Teraz jeszcze to widmo Ościka stanęło na granicy i odstrasza.

BANITA.

— Czyż dlatego opuścić ręce?—począł Andrzej.

W czasie tej rozmowy żywo prowadzonej, Samuel, którego już poważniejsza jej treść nudzić poczynała, siadł nad kubkiem, pił i nucił sobie jakąś piosenkę. Znużonym był.

Krzysztof dopiero ożywiać się poczynał,

— Ja jestem dobrej myśli—mówił dalej—gdy nie dziś to jutro dobra nasza! Choćby panowanie trwało jaki czas, a juści je i skrócić można (tu odkalsznął znacząco), nic po niem nie pozostanie. Cudu tego nie dokaże Batory, aby potomka po sobie zostawił — to darmo. Po nim rakuszanin gotowy i nauczony rozumu, a my z nim.

Królowa jejmość, choćby króla przeżyła, wpływu takiego jak za elekcyi Henryka mieć nie będzie. Doczekała się tego, że ją wybrano i na tronie osadzono, a co potem?

Gdy nie panowała, więcej władzy i znaczenia miała niż teraz, a wie o tem, że ją pan Zamojski pozbawił wpływu na męża i nie cierpi go. Można się domyśleć, że siostrzeńca będzie się starała prowadzić na tron, ale to się nie uda, a gdyby się powiodło, Zamojski już przy nim tak się rządzić nie będzie jak za Batorego. Przestrzegą młokosa, pierwsza ciotka, aby się za czuprynę wziąć nie dał. Wszystko to więc przemijające i przyszłość nasza!—dokończył Krzychnik.

— Albo, albo—ze sceptycyzmu odrobiną wtrącił Andrzej.—Jeśli się ten stan długo przeciągnie, łatwo rachuby twoje chybić mogą. Oni z każdym dniem siły nabierają, a szlachta słabnie.

Albo to wy nie znacie panów braci naszych, którym byle się dać wykrzyczeć, będą potem głosowali i na pobór i na pospolite ruszenie. Pod koniec zmiękną, gdy im do bigosu i do piwa będzie pilno, albo do jejmościnej pierzyny.

Rozśmiał się Samko.

— Dośćby już tego—przerwał—anoby coś weselszego przystało.

— Nie pora — rzekł Krzychnik — obradźmy naprzód to, z czemeśmy się tu ściągnęli. Wierzymy wszyscy, iż albo króla, albo pana hetmana pozbyć się potrzeba, lub obu społem.

Andrzej głową, a Samuel głosem potwierdził wniosek.

— Samko na Niż ciągnie, wy bracie Andrzeju do tegoście niesposobni, na mnie więc spada wszystko. Nie wymawiam się, ani wyrzekam, choć nie wiem, jak się do tego wezmę, przy tem jednem stojąc, abyście mi, popadnę-li w biedę, w pomoc przyszli i nie opuszczali.

Ruszył się marszałek z gotowością oświadczając. Bądźże pewien, że pójdziemy z sobą—zawołał—nie opuścimy się. Więcej powiem, że Jan choć nam sojusz wypowiedział, a i ten się od rodziny nie odłączy, więc bądź spokojny.

— Mnie znasz—dorzucił Samko—jam twój, a rozumu, choć go siła nie mam, mienia, jakie pozostało, i zdrowia nie będę skąpił. Czyń tylko co można, abyśmy się panowania tego zbyli.

— Mówiliście — rzekł po pewnem wahaniu Andrzej, który się do Krzysztofa przysunął — że z tego panowania nic nie pozostanie, bo jużci potomstwa się spodziewać śmiesznemby było, ale oni też mądrzy są. Zamojskiemu władza zasmakowała, kto wie jakie po mózgu myśli mu się zwijają. Niedaleko od tronu stoi, może mu się zda, że na osierocony wdrapać się potrafi.

Samuel i Krzychnik razem zakrzyknęli.

— Niedoczekanie szaraka!

— Posłuchajcie ino, jak się on do tego bierze — ciągnął dalej Andrzej pocichu. — Tajemnicą to jest jeszcze dla wszystkich, alem ja tego nie wymyślił, wierzcie mi. Ma synowicę Batory. Hetmanowi dawno pierwsza żona umarła, to pewna, że się myśl narodziła jeszcze go

zbliżyć do tronu, dając mu królewską jakby córę przybraną. Co wy na to!

Samuel i Krzysztof zarówno zdumieni spoglądali po sobie, niedowierzająco słuchali, ale wiadomość ta nie uczyniła na nich zbyt wielkiego wrażenia, bo ją za zmyśloną mieli.

— Baśń ktoś splótł—rzekł—Krzysztof.—Gdzie to słychana rzecz, aby król poddanego tak z sobą spoufał, ośmielał i łączył?

— I mnie się zda, że to przyjaciele szaraka wymyślili—zawołał Samko. — U nas o synowicy królewskiej nikt dotąd nie słyszał. Zamojski sam tej myśli się powziąć nie ważył, a król...

— Król nim żyje tylko! — rzekł Krzychnik — bez niego kroku nie stąpi, bez rady jego papieru nie podpisze, kraju nie zna, ludzi nie rozumie, więc ślepy, chłopcu co go prowadzi, gotów ostatek oddać, aby go do przepaści nie ściągnął.

Gdy się tak małżeństwem związą, łacno potem przyjdzie hetmanowi buławę rzuciwszy, po *sceptrum* sięgnąć.

Na długą chwilę wszyscy zamilkli. To o czem mówił Andrzej, nikomu jeszcze wiadomem nie było. Zaledwie w głowie króla myśl się ta zrodziła, której podobno pierwszym twórcą był zmarły brat, co sobie wielce upodobał hetmana. Tak dziwnie i nowo to brzmiało, tak zdawało nieprawdopodobnem a grożącem, iż nawet Samuel, nie lubiący rozmyślać, czas jakiś siedział zatopiwszy się w sobie.

— Proszę was, abyście o tem nie głosili—odezwał się Andrzej po przestanku. Wieść to jest, która łacno hetmanowi u ludzi większy jeszcze mir wyjednać może, więc nie nam z nią chodzić i wybębniać.

— Tembardziej—dodał Samko—że ja jej nie wierzę jeszcze, a gdy uwierzyć będę musiał...

Rzucił się niecierpliwie na siedzeniu, wypił nalane wino, napełnił kubki.

— Spocznijmybo i niech nam głowy odejdą — zawołał — zażyjmy czasu! Co u licha, wędzić się tak ciągle tym czarnym dymem złych myśli nie można. Mam z sobą Wojtaszka. Chcecie? zawołamy go, aby na lutni nam zagrał i pieśń jaką zaśpiewał. Kto Wojtaszka nie słyszał i nie zna, nie może powiedzieć, aby prawego cytarzystę i śpiewaka znał, bo jemu równego nie ma.

— Jam ci się na dworze u księcia Ferrary i po innych włoskich dosyć ich nasłuchał—odparł prawie obojętnie Andrzej—nie ciekawym tak dalece.

— A ja też u cesarza, który we wszystkich się kunsztach kocha, nie mało ich spotykał, nie sądzę, aby twój domorosły Wojtaszek tamtym dorównał.

Obraził się Samuel.

— Nie domorosły jest — począł gorąco — bo to obieżyświat i choć młody dużo widział, a dziwowano mu się zagranicą. Jadł bestya chleb nie z jednego pieca, począwszy od P. Maryi w Krakowie i księży Bernardynów, kędy już mu habit nadziano, ale go nie długo nosił.

Wychwalać go nie bedę z innych zalet, bo łotra kawał jest i szubienicy wart, ale gra i śpiewa jak anioł.

Chociaż epizod ten z Wojtaszkiem, nagle obok najpoważniejszej materyi do myślenia dającej wtrącony, mógł braci zdziwić, kto znał Samka fantazyę, nie zdumiał się temu wcale. Tak samo nie raz gdy wszyscy traktowaniem najważniejszych spraw zajęci bywali, Samuel konia przez okno zobaczywszy, dla niego wszystko porzucał, długo nigdy nad niczem wytrwać nie umiejąc.

— Mnie teraz twój Wojtaszek nie w porę, nawet ciekawości nie budzi—przerwał Krzychnik.—Co mi tam. Batorówna mi w głowę zajechała.

Z upartym Samkiem ciężko się sprzeczać było. Nie zważając na Krzychnika, począł na głos wielki wołać swego lutnisty.

Ten się może spodziewał, iż pan bez niego i bez pochwalenia się nim nie obejdzie. Był więc pogotowiu.

Obaj bracia podnieśli ciekawy wzrok gdy wchodził.

Mężczyzna był lat może trzydziestu, wielce urodziwy, a snać urodą swą chełpliwy, blondyn, z włosami długimi puszczonymi w puklach na ramiona i stroju włoską modą. Na twarzy dosyć pięknej ale bladej i zmęczonej, duma jakaś, zarozumiałość, pogarda ludzi i miłość własna, nadto się wyraziście malowały. Choć pokornie się panu skłonił, bo z Samkiem żartować nie było zdrowo, ani mu się stanąć okoniem, widać było, iż go to poniżenie chwilowe kosztowało wiele.

Lutnie, której nigdy nie rzucał i teraz miał na ręku.

Skinął coś poszeptawszy cicho Samek i dodał głośniej.

— Zaśpiewaj co wesołego, bośmy się zachmurzyli jak to brzydkie niebo dzisiejszego poranku, a pochwal się, że ani księciu Ferrary, ani innym cesarskim lutnistom nie dasz się wyppzedzić.

Wojtaszek nic nie mówiąc, tuż przy drzwiach na ławie miejsce zająwszy, lutnię podstrajać zaczął, palcami przebiegł po jej strunach, na pana spojrzał, który mu głową dał znak i zanucił.

Grał na lutni towarzysząc sobie ze sprawnością tak wielką, iż poniekądby kunsztem tym głosowi swemu krzywdę mógł czynić, gdyby w istocie nie był czysty, silny a wprawny tak, iż odrazu po nim mistrza było poznać.

W tej karczmie pustej, ten śliczny dźwięk dziwnie się rozchodził i sprzeczał z lichą gospodą, która go nie była warta.

I pan Andrzej i Krzychnik w istocie melodyą głosu zachwyceni zostali, bo się nic podobnego nie spodziewali, ale i piosenka, która wesołą być miała, treścią ich swą zajęła.

Była ona żalem opuszczonej małżonki, szydersko

wymyślonym tak, aby Anny Jagiellonki dolę smutną malował.

Usiłowała ona niby powstrzymać męża przy sobie, który najróżniejsze zmyślał potrzeby, aby się od pieszczot jej uwolnić. Więc jechał na łowy, potem na wojnę, znów na radę, na nabożeństwo, a w jednej strofie zwrotka skargę nieszczęśliwej królowej parodyowała, w drugiej obawę małżonka, aby nie był zmuszony ze starą czarownicą pozostać.

Paskwilusz to był niegodziwy, który nie tyle kunsztem i poezyą, co wielką złośliwością i grubiaństwem osłoniętem niby się odznaczał. Wywołał on śmiech wielki Krzyknicha, półśmieszek Andrzeja i kubek wina od Samuela.

Ale zaledwie się skończył, Samek drugiej pieśni zażądał.

Lutnista, nim mu ją podyktował, sam począł, a jaką miał myśl wybierając ją, on tylko wiedział; ale zaledwie się ona odezwała, nagła zmiana powlokła lice pana grubym smutkiem. Zmarszczył czoło, spuścił głowę, a nie miał odwagi zakazać lutniście, aby śpiewać się nie ważył dalej.

Wojtaszka posądzić było można prawie o chęć jakiejś zemsty nad własnym panem.

Zagadkowa to była piosenka, niby wesoła, hulaszcza, rozpasana, a rozpacz z niej i ból tryskał taki, że się płakać chciało słuchając, choć każda zwrotka do kielicha i do szału wołała.

Po Krzychniku nawet dreszcze poszły jakieś i z litością spojrzał na Samka, który się wił z bólu słuchając. Zrozumieć w niej wiele alluzyi było trudno, równie jak zuchwalstwa śpiewaka, który nią pana swojego częstował.

Samuel porwał się nareszcie z siedzenia i zakrzyknął.

— Dość! precz!

Lutnista nie dał sobie powtarzać rozkazu, urwał

nagle i zniknął za drzwiami. Można go było posądzić, iż piosenkę wybrał umyślnie, aby prędzej był odprawiony.

Po wyjściu jego p. Samuel pozostał przybity. Wrażliwa jego natura nie dawała mu się uspokoić.

— Lutnisty ci powinszować—odezwał się marszałek. — Słyszałem wielu i przedziwnych, alem lepszego i we Włoszech, gdzie o głos piękny nie trudno, nie spotkał. Tylko sobie pieśni dobiera nie szczególnie wesołych.

— Na przekorę mnie — rzekł mrucząc gniewnie Samek,—Trzymam go siłą, mocą, radby się na swobody wyrwać, więc mi doskwiera jak może, choć go złotem obsypuję. Mściwy i zły jest. Wie on, że na dwór się gdzieś dostawszy, lepiejby niż u mnie opływał, i ja to wiem, ale puścić mi go żal.

Są chwile w życiu, że się pieśni potrzebuje jak chleba i powietrza. Wojtaszka tego pilnować muszę i wiem, że w końcu mi się wydrze, ale póki mogę...

Zbój ten i pieśni sam układa—mówił dalej.—W domu co jest niewiast wszystkie za nim giną, i to nie miła rzecz, bo ich i jego pilnować potrzeba...

— A co ci po pieśni! — odparł pogardliwie Krzynik — czasem jej posłuchać, toć jeszcze, ale się za nią ubiegać, gonić i dla niej trzymać nieznośnego człeka, na to chyba Samka potrzeba.

— Tak!—potwierdził Samuel—znam to do siebie. Słabości mam nie męzkich wiele, dziwactw od młodości panujących nademną nie zliczyć. Dziś już, gdym za nie krwią i łzami dużo płacił, pozbyć się trudno. Trują one życie, ale podczas je osładzają. A potem, jam taki człek, że gdy na mnie przyjdzie godzina, chwyta mnie niby jakaś siła nieczysta i rzuca mną, by szalonym. Naówczas ja sobą nie władam, zabijam choćby swoich, we krwi się pławię, gotowem palić i mordować, choć wiem, że jutro płakać na to będę.

Westchnął.

— Choroba to czy nałóg?—mówił dalej.—Ludzie prawią, że gdy nieboszczka matka ze mną chodziła, zadano jej coś takiego, żeby szalonego męża na świat wydała.

A nicby nie było, gdybym szalonym ciągle był i tego do siebie nie znał, ale ja wiem co czynię, a wstrzymać się ani myśleć, bom nie duż.

Jak gdyby ta pieśń Wojtaszka, za którą tęsknił i braci chciał nią częstować, całkiem umysł chmurą zawlokła, zmieniło mu się usposobienie i z ochoczego stał się posępny a prawie sierdzisty.

Co widząc bracia, że go znali, nie przeciwili mu się, milczeli, dawali żółć tę i gorycz z siebie zrzucić.

Patrzał tedy na te drzwi, któremi się Wojtaszek wymknął, i już jakby o wszystkiem innem zapomniawszy, tylko o nim i o sobie coś pomrukiwał, zwracając się do Krzychnika, który lepiej od Andrzeja był w jego naturę wtajemniczony.

Wskazał na drzwi, pochylając się ku bratu.

— Zobaczycie, zobaczycie tego Wojtaszka, ja mówię wam, na tem się skończy, że albo on mnie, albo ja jego o gardło przyprawię. Za wiele on rzeczy o mnie wie, ba, wszystko, myśli moje z gniazda wykręca, tajemnice mi z pod serca dobywa, a ja jego czasami jak psa nienawidzę, czasem jak własne dziecko miłuję. Wiem, że zły człowiek jest, że sposobności tylko czeka, aby mnie zdradził, a zbyć się go nie mogę.

Twarz Samuela gorączkowo się mieniła i mówił coraz żywiej, trzęsąc się, niespokojny.

— Mam siedem zabójstw na duszy mojej, a tych, których z naprawy mej ludzie dokonali, i siedemdziesiąt siedem liczyć mało... mogę więc ósmego wziąć, nie wiele zacięży. Zabiłem Trepkę w las go wywiódłszy dlatego, że sprawę mą z nieboszczką żoną podpatrzył, a wołał o pomstę, iż ją niesprawiedliwie zbiłem... czemużbym i Wojtaszka, który więcej wie, nie miał uśmiercić?

Zwrócił się z tem pytaniem do Krzychnika, który namarszczywszy się odparł.

— W takich razach o radę nie pytają nikogo. Co mi do Wojtaszka! Pilniej się nam innego zbyć, a nie wyrostka, któremu nikt wiary nie da.

Pan Samuel już myślami snać daleko pobiegłszy, mówił nawpół do siebie.

— Trepka mnie we śnie prześladuje. Przychodzi niemal co noc i odgraża się, zabiłeś ty mnie potajemnie, ciebie zamordują publicznie i sromotnie.

Za duszę żony modlę się, zakupiłem mszy siła, a i ta mi pokoju nie daje. Tej mi samemu żal, bo niewinną była, a przez zdrajcę Turczyna i tę niewiastę gorszą od żmii zginęła. Wojtaszek to wszystko wie i moją mękę zna, a nią się napawa jakby miód pił.

Kandyan na mnie też jako na szaleńca i gwałtownika skarży za niedźwiedzia, Dominikanie za tego, com go wywałaszyć kazał, ale mu się to należało, bom dla nabożeństwa go trzymał w domu, a on mi dziewczęta jejmościne psował. Com się nie miał pomścić?

Wstał mówiąc to, nalał sobie wina znowu, raz i drugi, pijąc już sam, ani Krzychnika, ani marszałka nie prosząc, bo się zupełnie zapomniał.

Wtem dzień się już dobry robić zaczął, czeladź spała, a im na sen się nie zbierało. Siedzieli wszyscy, Andrzej opowiadać zaczął, że głodny był. Skoczył więc pan Samuel budzić swoich, aby podawali co prędzej takie jadło, jakie pod ręką się znalazło i wina siła.

Ochotę bowiem miał do picia niepomierną.

Ktoby go pod ten czas widział, a nie znał go tak jak bracia go znali, musiałby za szalonego mieć, bo raz sam do siebie mówił, śmiał się, to w głos narzekał, to się odgrażał, a ludzie i sprawy przeszłe i teraźniejsze mięszały się w tej nieporządnej mowie, że połapać ich związku było niepodobna.

A no Krzychnik wiedział, że u pana Samuela chandra taka była przechodzącą i mijała. Gdy mu co do głębi poruszyło sumienie, wówczas stawał się prawie szalonym. Tu naraz wszystkie dawne sprawki, gdy widok Wojtaszka wywołał, musiał z niemi walkę stoczyć.

Wtem Krzychnik pomyślawszy zapytał.

— Tego Wojtaszka, zkądżeś go to ułowił? Co zacz? Z twarzy i postawy szlachecko wygląda, a z kunsztu i tej służby inaczej. Cóżeś ty go na swą biedę wychował? czy przyjąłeś już odkarmionego?

Zwrócił się p. Samuel.

— Wojtaszka—rzekł — sam dyabeł nie wie zkąd się on wziął, a co dziwniejsza, i on też swojej *originem* nie wie. Tak jest na pewno. Pamięta tyle, że chłopięciem bardzo małem u Panny Maryi w Krakowie w szkole pod ławą na worku słomy sypiał, że go tam bito i za uszy targano, że się uczył i rósł. Potem jednego dnia, gdy go rózgami wysiekli na cmentarzu z dziewczyną nadybawszy, uszedł od Panny Maryi do Bernardynów i tam habit wdział. Głos miał piękny i w głowie rozgarnięto, ale sierota a bękart pewno, roił od dzieciństwa i po dziś dzień, że mu wszelkie wielkości należą, że musi być rodu dostojnego, że rodziców znajdzie i kiedyś siądzie wysoko.

Tego mu z głowy nie wyjąć. Widzieliście go? pojrzawszy zda się królestwa dziedzic, tak się z sobą nosi i chodzi.

— Puściłbyś go!—rzekł Krzychnik.

— Nie mogę, choćbym chciał—odparł Samuel.— Naprzód pod ten czas on nadto wie, a potem jak mi go zabraknie, oszaleję. Mnie i on i pieśń jego potrzebna.

Wtem gdy powoli zimne i ciepłe półmiski przynosić zaczęto, a pan Andrzej, który na stole sparty drzemał, ocknął się, Samuel zaś już dobrze podchmielony coraz się głośniej i raźniej poruszał, a Krzychnik do niego dostrajał, począł marszałek, wskazując na okna.

— Czasuśmy dosyć nadaremno stracili, boć nie potośmy się zwołali, aby Samko się przed nami spowia-

dał, raz że bez spowiedzi my go dość znamy, wtóre że choć my go rozgrzeszym, co mu to pomoże.

Zatem byłbym tej myśli, iż wrócić trzeba do tego Niżu, albo i do naszej wojny przeciw królowi i «Czarnej Radzie».

Samuel siadł za stół.

— Niechaj moje przepada — rzekł — mówmy o wspólnych sprawiech.

— Więc o Niżu! — zapytał Andrzej. — Wiesz że się na cię krzywią, i że znowu uniwersały na cię słać gotowi, jako przed kilku laty, gdy cię na granicy poczuli i starostom imać kazali; nie dobra to więc rzecz ich nadaremnie drażnić, gdy przystałoby raczej wprost się rozprawić i skończyć.

— Gdyby można jam gotów — odparł Samuel. — Kulibym nie pożałował, a wiecie że wróblom nią głowy ucinam... a no, gdzie się ruszę, naprzód o mnie wiedzą już i czyhają... dostęp trudny... kroki moje śledzą. Dlatego lepiej gdy ich zmylę i na Niż albo Wołoszczyznę zbiegę, kędy krok w krok chodzić za mną nie mogą, a wrócić potrafię tak, aby o mnie nie wiedzieli. Jest też na Niżu co poczynać...

— Tego my nie widzimy — odparł Andrzej — a zda się nam, gdyby tam miód podbierano, jużby się pasiecznicy znaleźli. O Niżu mówią, że nieład tam wielki, a włóczęgowie ze świata całego i rozbójstwo... Takiego narodu za łeb pochwycić, albo go w karby wprawić, nie Samuela na to potrzeba.

Śmiał się Samek.

— Właśnie może tylko ja ich uchodzę, bom pod czas taki jak i oni. Macie zaś wiedzieć, żem słał do nich raz i drugi z podarkami, jak się patrzy, z obietnicami, co wdzięcznie przyjęli. Jacy oni są, to są, a rozumieją, że gdy wodza dostaną, dopiero znaczenia nabędą. Zaś prosty chłop im nie starczy.

Zrobię co na Niżu czy nie, na dwoje o tem wróżono, a no próbować wolno, rozpatrzeć się nie grzeszno, życie nawet ważyć nie kosztuje mnie, bom je i tak już zmarnował.

Zawładnę Niżowcami, naówczas i król i Czarna Rada będą musieli ze mną się układać, bo im zarówno zła jak i dobrego przyczynić mogę. Przytem uda się li co z Wołochem, i to nie zła, zwącham się z tatarskim, nie gardzę tem. Mnie o zdobycie siły jakiejś idzie, a zkąd ją wezmę, furda! bylem miał.

— Ja to wiem — przerwał Krzychnik — że ciebie nie powstrzymać, gdy ci się czego zechce; jedź więc na Niż, choć tubyś był potrzebniejszym. Na jakiekolwiek porozumienie z tym królem i tym jego sługą, liczyć nie można; na nożeśmy poszli, więc nam wszystko musi być dobre co drogę oczyści. Czy kula w Niepołomskiej puszczy, czy trucizna w napoju zadana, czy zasadzka i śmierć w polu...

Andrzej słuchał nie okazując najmniejszego wzruszenia, nie sprzeciwiał się. Samuel dodał.

— Albo-li żyw z Niżu powrócę, to wam w pomoc stanę, lub zginę, to wam dorósłszy Aleksander służyć będzie. Dziś u mnie jedno kozactwo w głowie, wy tymczasem wypatrujcie, rozsłuchujcie się i gotujcie.

— A siła ich z tobą na Niż ciągnie, boć tam samotrzeć albo i dziesiątek iść trudno? — zapytał Krzychnik.

— Szlachciców chudego pacholstwa ale animuszu nie małego, mam już osiemdziesięciu przeszło — rzekł Samuel — mało, ale na moje sakwy, które ich żywić i poić muszą, i tego za wiele. Hajduków mało nie drugie tyle z czeladzią muszę przy sobie mieć, koni też okrom tych co pod nami pójdą, bodaj tabun cały pędzić muszę. Bez podarków z gołemi rękami ani do kozaków, ni do tatarów nosa nie ma co pokazywać i na to grosza pójdzie nie mało, ale choćby co z wiosek zastawić przyszło, pójdę! pójdę!

Żaden z braci już go nie myślał wstrzymywać, bo im ten opór i to przekonanie twarde, iż się tam coś da

zrobić, wydawał się jakby przeczuciem przeznaczenia. Samuelowi zaś śmiało się hetmaństwo kozacze, w niedostatku innego, bo odrazuby mu dało taką wagę, z którą się liczyć doma było nieodzownie potrzeba.

Do pół dnia trwały narady z braćmi, ale już przed nocą zjadłszy i wypiwszy co z sobą mieli, poczęli się panowie Zborowscy w drogę wybierać. Przyczem Samuel na odjezdnem do pijatyki tak obu zmuszał i sam tak okrutnie chlał, że gdy na konie siadać przyszło, wszystkich ich służba na siodła podsadzać musiała, okrom tylko Samuela. Temu wprawdzie wino szaleństwo sprawiało; język i ręce rozwiązywało, ale sił nie odejmowało.

Krzychnikowi poleciwszy dzieci swe i domy, Samuel wprost ztąd pociągnął do dóbr swoich, w których małymi oddziałami rozłożone były werbunki szlachty, która się z nim na Niż do kozactwa iść ofiarowała.

I w parę tygodni potem wieść się rozeszła po rzeczypospolitej, iż banita Zborowski, zrozpaczywszy o sobie, na Niż do kozactwa zbiegł i hetmanić mu się spodziewa. Drudzy zaś głosili, jakby zawczasu okrzyknięty był ich wodzem i przeciwko Turkom na przekorę królowi ciągnął.

IV.

Był pod ten czas w Krakowie Krzysztof Zborowski gdy Samuel wyciągnąwszy w przeszło sto koni na Niż, długo bardzo żadnej o sobie wiadomości nie dawał, nawet braciom.

Tym, które ich ze strony dochodziły, wiary dawać było trudno. Oddalenie się z kraju banity, który około

siebie najwięcej wrzawy podnosił zawsze i najbardziej oczy zwracał, choć od Zborowskich oko hetmana odciągnęło, bo się mniej zuchwałego kroku od Krzysztofa obawiał, nie poprawiło sprawy ich u króla i hetmana. Wiedziano co trzymać o całym rodzie tym, z wyjątkiem Jana, który choć braci zawsze bronił przed hetmanem, nie podzielał ich niechęci i do pokątnych ich robót się nie mięszał.

Andrzej też tak stał, że na siebie oczów nie ściągał, ale mu nie wierzono. Zamojski wiedział co o nim trzymać,

Krzysztof udawać miłość dla króla i jednać się napozór z Zamojskim ani myślał, ni się starał; rozumiał to, iż mu nie zawierzą, a całą ufność swą pokładał w rakuszaninie, bo choć mówiono, że Carowi moskiewskiemu wierność nie tylko przyobiecał, ale poprzysiągł, choć z nim nie zrywał, nie wiele pono na niego rachował, a po ścięciu Ościka strach go ogarnął, zwłaszcza gdy w papierach jego Zborowskich listy lub wzmiankę o nich znaleziono. Nie było tam dowodu zdrady, nie czyniono przeciwko nim nic, lecz ostrożność kazała zaniechać stosunków, które korzyści żadnych nie przedstawiały na teraz.

Kręcił się więc pan Krzysztof po kraju, malkonentów jak on sam dla cesarza na przyszłość przy sobie skupiając, to na wsi, to w Krakowie, to zagranicą bawiąc, znikając i ukazując się niespodzianie, gdy dnia jednego znać mu dano, że wyprzedzający pana Samuela od boku jego szlachcic Zerwaniec zjawił się w Krakowie i podczaszego szukał.

Łatwo go też mógł znaleźć, bo Zborowscy ilu ich było, gdy w Krakowie mieszkali, nie gdzieindziej jak w swoim domu na Franciszkańskiej ulicy.

Dwór był stary, a dla rodziny licznej przez ojca Marcina jeszcze rozbudowany tak, że i nie mało gości i dwory i ludzi mógł pomieścić.

Zajmował oparkanioną przestrzeń bardzo znaczną, w której bodaj czas jakiś napaści się nawet było można

opierać, tak był dobrze obwarowany. Stu ludzi i koni łacno mogło tu znaleźć pomieszczenie, a tabor wozów w ogromnym rozłożyć się dziedzińcu.

Wytworności nie było żadnej, bo jakeśmy mówili, przywoził z sobą każdy co najpotrzebniejsze sprzęty, ale izby szły rzędem jedna w drugą ogromne, jasne, w których za stół można było ludu posadzić głów dosyć.

Mieli tu każdego czasu Zborowscy, jak inni panowie po miejskich dworach, i szopy siana pełne i śpichrz z owsem i piece na chleby i loch na piwo.

Pan Krzysztof zajmował przedniejszą część dworu, i tu swoich przyjaciół, a posły z różnych stron przyjmował podczas dniami lub nocą. Czynny był bardzo, choć nie rad z tego co się święciło.

Tajemnica owa, którą marszałek przywiózł do Borówki, iż Batorównę król miał dać Zamojskiemu, już dla nikogo sekretem nie była. Noszono się z nią sarkając a ona zazdrość, którą łaska króla dla hetmana dawniej budziła, urosła teraz do najwyższej miary.

Nienawidzili niechętni króla, ale stokroć więcej hetmana, że z między szlachty wyszedłszy małym, dorósł tak wysoko i u tronu stał. Przypisywano mu bowiem zamachy w przyszłości na koronę, która po Batorym bez dynastyi zostać miała.

Wprawdzie wiek i zdrowie Batorego wszystkie te widoki na daleki plan odsuwały, lecz zawczasu już obawiano się. Nikt więcej nad Zborowskich, bo ci wiedzieli, że przejednać się będzie niepodobna i zaufanie pozyskać.

Gdy mu o Zarwańcu, którego znał dobrze, oznajmiono, niecierpliwić się począł podczaszy, iż do niego się pierwszego nie zgłosił, aliści i on sam stawił się.

Samuelowy był to sługa nawet na oko, od pana coś przejąwszy, jak się to zawsze dzieje Zuchwały, krzykliwy, zbój do korda prędki, to też od niego na twarzy i głowie liczne miał upominki, siłacz okrutny, do wypitej i wybitej, ale i do głodu i wszelakiego przymęczenia je-

dyny. Zerwaniec przez Samuela był w ważnych razach używany, gdy albo o tajemnicę szło, lub o pieniądze. Temu oboje powierzyć było można śmiało.

I tym też razem Zerwaniec od Niżu przybył dla przywiezienia grosza, o p. Krzysztofie nie wiedział i dlatego naprzód gdzieindziej się zwrócił, bo mu pilno było z sukursem dla pana.

Wszystko to w niewielu słowach opowiedziawszy Zerwaniec, gdy go Krzysztof na ławę zaprosił, aby siadł i spoczął, dopomniał się też o posiłek.

— Niech to wszystko—rzekł — w. miłość nie dziwi, żem się ju nie stawił zrazu, że teraz sam się do strawy i napoju napraszam, ale bo ja z piekła powracam; w głowie mi jeszcze szumi, a w żołądku ckli od tego głodu, któryśmy z panem, żołędziami, grzyby i suchemi jagodami musieli tumanić.

Rękami obiema podniesionemi nad głową plasnął.

— Sto lat żyw będę, to tego nie zapomnę—mówił dalej. — Czasu całej tej wyprawy nie odstąpiłem na krok od pana, dzieliłem z nim wszystko.

— Mówże—przerwał Krzysztof—bom i ja nie mało ciekaw.

Zerwaniec głowę podniósł.

— Niech miłość wasza nie myśli, że to się tak da w dwóch słowach zamknać, będzie tego na jeden albo i na dwa wieczory, z czego pan mój sławę wprawdzie może mieć wielką, ale korzyści najmniejszej, a co nas to kosztowało, mieszek wie i P. Bóg. Dlategom też przodem skoczyć musiał, aby co grosza ułowić, inaczej nas Zborów nie zobaczy.

Wszelako Bogu dziękować, żeśmy z życiem wyszli, bo nie jeden raz się zdało, że o tam na kresach przyjdzie ginąć marnie.

— Toć już Samkowa wina własna — odezwał się p. Krzysztof — niech powie, czyśmy mu nie odradzali wszyscy, nie odwodzili... nie pomogły perswazye.

Ruszył ramionami Zarwaniec.

— Tyle korzyści naszej, że teraz tego Niżu nikt lepiej nie zna od nas—dodał.

Podano jedzenie i piwo Zarwańcowi, który się chciwie przysiadł do obojga, potroszę o panu Samuelu mówiąc, jako cudem zdrowo wyszedł z tego ognia, i imprezy swej nie żałował.

Na wieczór tedy, gdy marszałek Andrzej się obiecywał, zamówiono Zarwańca, aby się z powieścią o Niżu stawił. Gotów był, to sobie wymawiając, aby oprócz dwu panu braci, nikogo więcej nie było.

— Z panem moim—dodał—jam go świadom, ostrożność zachować potrzeba. Ja po swojemu rzecz opowiem, jakem ją widział, a któż wie, czy się to spodoba jemu? Więcbym nie rad, aby rozgłaszano, co on może inaczej zechce tłumaczyć. Jam prosty człek, com widział, powiem.

Zawczasu tego wieczora marszałek się stawił i p. Krzysztof nie ruszał krokiem z domu. Zarwaniec też czekał na nich wysypiając się, bo powiadał, iż tyle nocy bezsennych spędził, że teraz o każdej porze głowę pochyliwszy gotów kamiennym snem się odżywiać.

Wstał za to rzeźwy i krzepki, a gdy mu dla odwilżenia gardła nie żałowano, relacyę tej nieszczęśliwej wyprawy na Niż tak rozpoczął.

— Wszyscyśmy się z tej imprezy pańskiej siła nie spodziewali, a rychlej obawiali jej, choć nie można powiedzieć, aby ona całkiem na los szczęścia przedsięwzięta była. Słał pan nasz do kozactwa z listy i podarkami nie jeden ale wiele razy; a odpowiedzi mu przynoszono zachęcające i zapraszające, że hetmana podczas nie mieli kozacy, i że możnego a możnego pana, byle im poprzysiągł, chętnieby na czoło postawili.

A no że przez posły wilk nie tyje, po raz trzeci nie było już co słać, trzeba było samemu jechać. Jakeśmy się wybrali, panowie najlepiej wiecie. We sto przeszło

koni, z których siedemdziesiąt szlachty, ruszyliśmy się w najlepszy czas do Kaniowa. A tej części podróży nie ma co opisywać, gdyż pospolitym trybem się odbyła, krom tego, że ze szlachty niektórzy języka dostawszy, ulękli się i nocami nam pierzchnęli, na których miejsce innych trudno było w tych krajach dostać.

Przodem zaś wyprawiony był nasz Zuzula, zdawna panu służący rusin, który już raz na Niż jeździł i z kozakami znał się, tak że gdyśmy do miasteczka tego dosyć opustoszonego przybyli, w którym jedna stara bardzo murowana cerkiew czyni je do miasta podobnem, jużeśmy tu Zuzulę z powrotem i posły kozackie zastali.

Niech mi to Pan Bóg odpuści, gdy powiem, że owo kozactwo, które jako dzikie i proste chłopstwo ciągle opowiadano, calem inaczej znalazł niż się spodziewałem. Albom ja źle widział, lub drudzy się mylili.

Prości wprawdzie ludzie i obyczaju grubego, to prawda, ale chytrości takiej w pokłonach i obejściu się, że ogładzonemu naszemu człowiekowi trudno im sprostać. A tak się umieją szczerymi, otworzystymi czynić, tak dobrymi się ukazują, iż człowiek wcale się na baczności od nich nie ma, za co potem przypłaca, cośmy stokroć doświadczyli.

Więc i ci pierwsi, których zastaliśmy w Kaniowie z Zuzulą, tak do kolan przypadali naszemu panu, a tak się radowali mu i zapraszali, żeśmy sądzili, jakoby na gody i do gotowego ruszamy.

P. Samuel wielce ochotny był, więc hojny, wesół i to tylko powtarzał:—Niechże baczą ci, co mi tu niefortunę przepowiadali.

Tu z tymi posły zdawało się, że się cała rzecz ubiła i skończyła. Opowiadali kozacy, że ich pograniczny starosta dla króla chciał pozyskać i wielkie rzeczy obiecował, ale oni się wilczych zębów obawiali, o których już wiedzieli, że gdy się za kim zawrą, to go nie puszczą

i woleli Zborowskiego mieć nad sobą, któryby ich swobody nie ukrócił.

Więc pił p. Samuel na zabój, pili i oni, a sadzał posły podle siebie do stołu, a podarkami ich obsypywał. Ci zaś w imieniu swych sotni i gromad przysięgali. Przyczem pilno do siebie jegomości zapraszali, aby co najrychlej przybywać raczył.

Opatrzywszy ich jak najlepiej, odprawiono ztąd przodem, a myśmy w najlepszej myśli ciągnęli do Czerkas.

A no tu powiedzieć muszę, o czem z nas nikt nie wiedział, aż dopókiśmy nie stanęli w Czerkasach, że oprócz tego, iż z kozactwem się zmawiał pan nasz, miał i drugą imprezę napiętą tak, aby ta tamtą zasłaniała.

Okazało się, że ze starostą pogranicznym, którego imienia wyznać nie chciał, zmowę też miał, że ten na niego podle Czerkas w kilkaset ludzi czekać się obiecał, aby razem szli na Putywl, zamek moskiewski!

Krzysztof wybuchnął podziwieniem wielkiem.

— Gdybym ciebie nie znał, że tego z palca wyssać, nie mogłeś, nie wierzyłbym ci. Do kozactwa jechał, aby je królowi odciągnąć, a ze starostą królewskim w pomoc przeciwko Moskwie razem się wybierał. Jakżeż to tu pogodzić?

— Godźcie jako chcecie—odparł Zarwaniec — ja też niespełna rozumiem, tylko pewna, że starosty owego i wojska jego i obietnic aniśmy śladu, ni znaku ni o nim wieści nie znaleźli. Tak tedy nad rzeką Pskłą postawszy i spocząwszy, gdyśmy nadaremnie czekali, a kozacy naglili, aby do nich jechał, ciągnęliśmy nad rzekę Samarę, gdzieśmy po raz pierwszy około dwóchset kozaków spotkali, od których czołobitnością wielką byliśmy przyjęci, co nam nadal wielkiej dodało otuchy, chociaż kozactwo to nie było rycerskiem i prawdziwem, ale ci, co ich wodnymi kozaki zowią, którzy ustawicznie ryby łowią, na rozmaitego zwierza po ostrowach dla skór polują i wszelkiem gospodarstwem, a potroszę handlem się zajmują.

Obyczaj i tu zastaliśmy prosty, ale dostatek znaczny. U których kozaków powiadają, w kubłach od mazi i dziegciu czerwone złote i talary się chowają.

Onić sami dla siebie nie potrzebują wiele, bo życie prowadzą chłopskie, ale skarby te na powszechny pożytek obracają i na to swe rycerstwo, które ich broni i osłania.

Tu więc, ktoby na ryby łakomy był, mógł się najeść do syta, gdyż najpiękniejsze po niczemu, a obfitość po jeziorach ich taka, że czasem dla ciasnoty zdychają i zarażają powietrze.

Na zwierzu też wszelakim nie zbywa, które głównie dla skór kozacy łowią i biją.

Dotąd jeszcze wszystko nam szło jak z płatka, kłaniali się i pokłony bili, choć czasem człek wejrzenie z podełba spotkawszy, aż mrowiem czuł, że mu przeszło, ale milczeli i jeszcze się akomodowali. Nic zmiennego nie było, a pan nasz coraz animuszu większego nabywał i z tych co mu niedowierzali śmiał się.

Od rybnych kozaków do rycerskich, na wyspę, na której niby stołeczny ich gródek miał być, inaczej jak przez rzekę przeprawiając dostać się nie było można. Ani na czółnach zbywało, ale rzeka osobliwa i niedostępna w tych miejscach, którą potrzeba znać, aby je bezpiecznie przebyć. Wznoszą się bowiem na znacznej jej przestrzeni skały, jedne większe, drugie mniejsze, niektóre ponad wodą, inne nieco nią osłonięte, a tak całe koryto przecinające, że nieznajomy człek ani wpław, ani czółnem nie przepłynie tych progów, których tam nie mało jest. Każdy z nich ma nazwisko i różni się jeden od drugiego, wszystkie przecie zawadą są dla żeglujących. Dodawszy po brzegach niezmiernie wysoko wyrosłe trzciny, niby lasy, a moc ptactwa wodnego, możecie sobie wystawić jako ten kraj wygląda. Twierdz kozacy nie potrzebują i wiedzą o tem. Łatwiej się tu obronić, niż wyśledzić i schwytać.

BANITA

(Czasy Batorego)

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Tom I.

WARSZAWA.
Nakładem Michała Glücksberga.
—
1898.

Prowadzili nas tedy między dwa te progi na uroczysko, które oni Jawołżanem zowią, dla przeprawy, a myśmy jeszcze tak przespieczni szli i ich przysięgami uspokojeni, jakbyśmy doma byli. Tu tedy pierwszy wypadł znak, iż z kozactwem daleko było do końca.

Zobaczywszy hajduków zbrojnych kupę nie małą, nasz orszak znaczny, kozactwo, które się tu już zbiegło w kilkaset ludzi, zdala się trzymało i zaraześmy spostrzegli, że się nieprzyjaźnie mają.

Była chwila jakby się napaść i bitwę stoczyć gotowali; posłano Zuzulę do rozmowy i porozumienia i rzecz się wyjaśniła.

Nieświadomi tego co starszyzna ich z p. Samuelem zmówiła, kozacy wzięli nasz zbrojny oddział za królewskie wojsko, które ich do posłuszeństwa i posługi chce zmusić... a że oni tam swą swobodę nad wszystko sobie cenią, gotowi byli stać w ich obronie.

Ledwie się udało dwu z nich na rozmowę ściągnąć. Tym p. Samuel rzekł zprosta, że nie jest żadnym królewskim sługą, ale go ich własna starszyzna wybrała i wezwała, że na jej żądanie przybywa, i nie ma innego zamiaru, tylko im być ojcem i towarzyszem, a obrońcą. Czyśmy ich przekonali, czy uwierzyli nam, czy nie, ale zmiarkowali też, iż z tą garścią sami się oddając w ich ręce, niebezpieczni być nie możemy. Jakoś się tedy udobruchali, a p. Samuel po rusińsku do nich gorącem słowem przemówiwszy, jak to on umie, częstując i obdarzając, jakoś niechętnych rozbroił, ale to nam mogło już okazać, że do końca było daleko, a kozactwo wcale tak łatwowiernem i do pozyskania lekkiem nie było, jak się nam w Kaniowie zdało.

Po rozhoworach tedy zgodzili się nam osiemdziesiąt ludzi dać dla przeprawy przez progi, bez których my jak w matnibyśmy tu zostali.

Ciągnęliśmy tedy ztąd ku miejscu na przeprawę oznaczonemu, pomijając zameczek Chortycę, który tam

był niegdyś kniaź Wiśniowiecki postawił. Tu gdy o zamkach mowa będzie, aby sobie ichmoście nie wyobrażali, iż to murowane a mocne grody są, dodać muszę, iż wszystko tam z drzewa, z gliny, z ziemi, a rzadko eo z kamienia. Przeciwko tatarom, którzy tam zabiegają, bośmy sami ich straże widzieli, i lada wał starczy.

Tu już i z kozaki i od tych tatarów nie małe trudności poczęliśmy widzieć i czuć przed sobą. Ci, którzy sobie wyobrażali, że do gotowego idziemy, a niebezpieczeństw żadnych nie zaznamy, znacznie poszkapieli, tak że nam ze szlachty nocami znowu po kilku uchodzić poczęło. Na to rady innej jak pilność nie było, a p. Samuel zapowiedział głośno, że kto się z nim iść ofiarował, musi dotrwać do końca, a gdyby uchodzić chciał i pochwycony został, jako zbiega w łeb kula nie minie, co trochę się pohamowało.

W Chortycy noclegował p. Samuel, a choć postu nie było, i on i ludzie przez cały ten czas jeno rybami żyć musieli, bo tych wszędzie było poddostatkiem, i szczuka łokciowa nie żadną osobliwością, mięsa zaś nie było dostać. Więc kucharz pański Michał biadał i radował się razem, różnie je przyprawując. Chleb też podpłomykami przyszło zastępować.

Szło tedy dalej napozór po myśli, bo nam już blizko obiecywali owo hetmaństwo, buławę i obwołanie pana naszego, a zdanie mu władzy nad sobą. Myśmy w to wierzyli święcie, a i p. Samuel wszystko za dobre przyjmował co obiecywali, choć się później okazało, że nas w pole wywiedli. Dlaczego? Bogu wiadomo. Albo się podarków więcej z nas wyzyskać spodziewali, albo mieli jakieś rachuby swoje, dosyć, że tam szczerości za grosz nie było, choć my wierzyliśmy im cale.

Już tedy ino sam obrzęd do dopełnienia zostawał, jako mu buławę pierzastą zdawać mieli, a to na ostrowiu Tomaszowskim, kędy nas ciągnęli, dokonać się miało.

Jest ostrów ten, czyli Insuła, pośrodku szeroko roz-

lanej rzeki położony, dosyć spory, cały niemal gęsto lasem i krzakami porosły, a w pośrodku się podnoszący okrągło, tak że czasu wiosny gdy woda wszystkie prawie ostrowy te pokrywa, na Tomaszowskim zawsze cośkolwiek suchego lądu pozostaje. Nieprzyjacielowi się tu niełacno dostać można, bo na czółnach dla skał tylko tamtejsi co je znają, pokierować się mogą, a obcych siła poginęło, próżno się tu dostać pragnąc.

Przybywszy na miejsce zastaliśmy już kozactwo pogotowiu na przyjęcie nasze, świątecznie poubierane i uzbrojone, ze starszyzną na czele. Panie Boże odpuść, mnie się to zaraz w początku wydało, jakobyśmy mięsopustną komedyę grali, a na to wyszło, iż nie szczerze z nami postępowali.

P. Samuel się im z kozacka też przystroił, ale w złotogłów i jak na hetmana przystało. Ze strony tego chłopstwa orator wystąpił z tymi, którzy ową buławę na poduszce nieśli, z poszanowaniem wielkiem, choć kawał to kija był, mało co srebrną blaszką okuty i piórami kilku nastrzępiony.

Orator tedy submisyę czynił w imieniu gromady bardzo gładką, a wiele obiecującą i zamknął ją tem, że «my siebie z wiernemi chęciami naszemi i posłuszeństwem wszelakiem zaraz się przy tej buławie oddawamy, życząc ci tego, abyś nam długo rozkazował, zkądbyś sobie, nam i ojczyźnie miłej i potomstwu swemu nieśmiertelną sławę otrzymał».

Na co p. Samuel bardzo gorącem słowem a serdecznem odpowiadał im poręczając, iż oną buławę przyjmuje jeno z tą nadzieją, że nią rycerskiemu narodowi do zwycięztw i chwały będzie przewodził.

Poczem między kozaki do nas wybranymi a nami komitywa się napozór jak najlepsza przy kubkach zawiązała, że się ściskano i całowano. Ale już przy tej biesiedzie tu i owdzie prysnęło przeciwko lachom coś, co nam uszy niemile drasnęło, bo samiśmy się lachy czując, nie

mogli tego słuchać bez ucisku, jako wszyscy na onych panów polskich, co na kresach mieli ziemie i majętności, bardzo narzekali i nieprzyjacielsko się względem nich odgrażali, już nas za swoich uważając, albo-li też probując.

I pan Samuel też, choć przeciwko szlachcie i panom urazę miał nie jedną i ujmować się za panów braci nie myślał, zasępił się widząc, że tu co tylko lachem trąciło, śmierdziało im. Więc trzeba i nam było chyba skórę zmienić, aby się z tym narodem zbratać.

A gdyśmy się w onej gromadzie kozactwa rozpatrzyli bliżej, okazało się, że choć większa może ich część rodzonymi kozakami była i na tej ziemi wyrosła, dużo też takich, co z Polski od nas, z Wołoszy i innych ziem salwowali się gardła chroniąc, a tu już do kozactwa przystając, których obyczaj i język przejęli. Więc nie jeden z tych, co na głos po rusińsku wywoływał i śpiewał, a i włosy miał na ich sposób wygolone, gdy się z nami znalazł sam na sam, na uboczu, a wiedział że go nie podpatrzą i nie podsłuchają, nagle do nas z mazurska poczynał i ściskał i łzy mu z oczów ciekły, a o Polskę pytał, jakby mu matką była. Takicheśmy tu znaleźli nie mało ze zdumieniem naszem, ale ci właśnie od nas stronili, i tylko gdy podchmielili z tem się wydawali, jaka w nich krew płynęła.

Mnie tedy zaraz drugiego dnia nadarzył się niejaki Prochor, któregom ja za prawego kozaka wziął, a fizys mi jego przypadła do smaku. Stronił on odemnie w początku, dopóki się nie ośmielił, aż gdyśmy razem sobie podpili, odprowadziwszy mnie na stronę, dopiero po polsku zagadał. I przyznał mi się, że pruskim szlachcicem był, choć nazwiska wyjawić nie chciał, który dla zabójstwa ojczyma zbiedz musiał na Niż.

Tak jakoś do mnie przystał, że drugiego dnia byliśmy z sobą jakbyśmy od dzieciństwa się znali.

Ten mnie tedy zakląwszy, iż go nie wydam i nie okażę w żadnym razie, rzekł:—Miejcie się na baczności.

Buławęć p. Samuelowi dano, ale z kozactwem ostrożnym być trzeba, bo oni się nie łatwo komu zdadzą i zwierzą, a na p. Zborowskiego oko mają. Prawda, że się im z miny i odwagi swej podobał, ale zawsze on dla nich lach, a co lach, to wróg. Kłaniają mu się do czasu, a przy lada nieporozumieniu waszą garść, gdy nieopatrzną będzie, mogą wydusić, a nikt ich o rachunku nie spyta.

Na pierwszy tedy męztwa popis, p. Samuel sobie ten Putywl moskiewski wybrał, o którym słyszał, że łacno go zajść i zdobyć było... ale kozacy sami z nim ochoty wielkiej iść nie mieli i ociągali się, a ów starosta, który razem z nami obiecywał się iść, nie dawał o sobie wiadomości i odszukać go nawet nie mogliśmy. Więc się tu z jego strony albo zdrada, lub lekkomyślność okazywała.

Tymczasem gdyśmy stali nadaremno wyczekując na to, co przyjść nie miało, kozacy, jak ten Prochor przepowiedział, niedowierzający ze wszech stron, po trzeźwemu i pijanemu zachodzili, badając, a p. Samuel myślał dalej, gdyby z Putywla dał Pan Bóg szczęśliwie powrócić.

A tu dodać muszę, o czem albo panom, jako braciom, wiadomość dał p. Samuel, albo dla krótkości czasu, zaniedbał może, iż podczas gdy się z kozakami układał przez posły, zarówno też do chana perekopskiego słał z listy i od niego miał odpisy i przyrzeczenia wielkie sojuszu i przyjaźni przeciwko Wołochom i wspólnego iścia... a jako to rozumne było i polityczne, tego ja zachwalać nie potrzebuję. Tylko że tatarzynowi, równie jako kozakom zbyt łacno wiarę dawał, sądząc sobie, iż naród to zbyt prosty, gruby i do wszelkiego przebierania w maszkary nie zdolny, choć tak jedni, tak drudzy gorzej włochów umieli komedyę grać i w pole wywodzić. Czegośmy dopiero na własnej po części skórze doświadczywszy, nauczyli się nie rychło.

Kozakom tedy owe konszachty z chanem nie były wstrętne, i owszem nalegali, aby zaraz posły wyprawiać,

dopominając się dotrzymania słowa i pułku na pomoc, a nawet ofiarowali jeńca tatarskiego, murzę, którego byli pochwycili, posłom zdać, aby tą ofiarą chana skłonić ku powolności.

Zaraz p. Samuel ludzi wybrał, do których się i Bielecki, co z nami był, niegdyś komornik króla Stefana, przyłączył. Rozumie się, iż z gołemi rękami poselstwo nie mogło być odprawione, ale p. Samuel co tylko miał naówczas, od ostatniej bodaj koszuli gotów był dla swej imprezy poświęcić, o której wiele tuszył.

Naprzód o to szło, aby z tatary umowę uczynić twardą i do wszelkiej zawarować się zdrady. Chciał p. Samuel sam to czynić, na nikogo się nie zdając i żądał wyznaczenia miejsca, gdzieby ze starszyzną tatarską w dziesięcioro koni mógł się zjechać i tam obradować a układać.

Z czem posły jechały, a Bieleckiego omal tam nie zatrzymali, dowiedziawszy się, że królewskim sługą był, ale kozacy im to odradzili i cało uszedł nazad. Stało się, jak p. Samuel żądał, iż uroczysko, ich językiem Karaithebe, czyli czarne wody, wskazali, aby tam zjazd się odprawił.

P. Samuel wielce uradowany, a do zbytku już szczęściu swemu ufający, nie wątpił, że mu wszystko i nadal popłynie tak gładko. Suplikowałem go, Prochorowe mając na pamięci przestrogi, aby spełna ani kozakom, ani tatarom wiary nie dawał i zawsze się oglądał, jakby w złym razie wycofać się mógł bez szwanku.

Alem za to śmiech tylko i łajanie odniósł w zysku, za oną moją babską podejrzliwość i nieufność, gdy tu wszystko się po myśli i szczerze stało. I milczeć musiałem.

Szliśmy tedy na ono uroczysko, kędy i tatarskie posły w słowie się stawili, a co dziwniej, z upominkami i z lisy chana. Przyprowadzili z sobą koni pięknych i czysto przybranych dwanaście, między którymi prawie

cudne były, przytem szat ztotogłowych, jakich dla posłów i w Moskwie zażywają trzy. Z tych jedną najprzedniejszą zaraz na siebie wdziać musiał, aby dar chana uczcić.

Mieli i tłumacza z sobą, który ich bełkotanie niezrozumiałe nam po rusińsku wykładał. Witał go chan sercem niby wielkiem, szczególniej z tego się ciesząc, że kozacką swawolę i zuchwalstwo pohamuje, a ład zaprowadzi.

Chan zaś tak serdecznie się względem pana naszego oświadczał, że go jak syna swego był gotów w opiekę wziąć i we wszystkiem mu pomagać, byle spokojnie nad Dnieprem stał i czekał aż razem pójść będą mogli. Przyczem obiecany pułk potwierdzał, niedługo mając go słać.

Nie mnie sądzić, jak tam sobie p. Samuel poczynał i czy nie pobłądził zawsze do zbytku ufając. Więc gdy na chorągiew ową włoską czekać mu kazano, a on się niecierpliwił, aby czas darmo nie upływał i kozacy na rozmysły nie brali — domagał się tylko od chana, aby mu dla przewodu hetmana swego dał przeciw Moskwie, która litewskie kraje wycieczkami trapiła.

Gdym to posłyszał, miałem odwagę sam na sam spytać pana, dlaczego królowi Stefanowi chce przeciwko Moskwie pomagać, gdy król przeciw nam takim wrogiem? Na co mi tylko tyle rzekł:—Pilnuj swego nosa, wiem co i dlaczego czynię.

Tedym zamilkł. Umowa tedy ciągle przez posły dalej szła o hetmana, o wyprawę, i już się nam zdawało, że jako żywo, lada dzień z tego «kosza», jak go kozacy zowią, wyruszymy na Moskwę.

Ale napisanem było, iż tu wielkie owe nadzieje i ufanie pana Samuela zawiedzione zostanie.

V.

Staliśmy na tem ostrowiu wczasu zażywając wspólnie z kozaki, których obyczaje i tryb życia poznawaliśmy.

Siłaby o tem mówić, a wiele rzeczy nie do wiaryby się zdało, jako to naród razem swobodę swą miłujący, a karność tak srogą wywierający nad swymi, że wspomnieć strach, bo u nich nieposłusznego na pal wbić, gdy gromada winnym okrzyknie, niczem jest.

Własności też w koszu osobnej nikt z nich nie ma, jako u nas w klasztorze, ale skarb wspólny i stół wspólny, i śpichrze, z których każdy bierze co potrzeba, ale też do nich wszelki łup wojenny oddawać muszą. A że ludzie prości są, więc im nie wiele potrzeba i w kotłach jedzenie na każdy dzień kucharz ich warzy, zwołują się do niego, piją i jedzą gromadą. Kobiet tam nie widać wcale, które tylko rybni owi poza koszem kozacy mieć mogą, inni zaś jako mnichy tu żyją, choć o czystość nie dbają wcale i czasu wojny wszelkiego gwałtu pozwalają sobie, ale mają tę wiarę, że gdyby jedna niewiasta pomiędzy nich weszła, z nią razem waśń i niepokój i rozterkiby rycerskiego ducha im odjęły.

W czem, że rozumni są, zaprzeczyć trudno.

Rzekłem, żeśmy tu wczasu zażywali, boć robić nie było co, krom że się dla rozrywki na ptactwo wodne lub na ryby z sakiem szło, ale ze strawą musieliśmy ich grubemu obyczajowi być posłuszni, i z kotła razem z nimi się żywić. W czem p. hetman przykład dawał, ale łacno mu to przychodziło, bo Michał pokryjomu zawsze dla niego albo szczukę po żydowsku lub kawał mięsa przypiekł i podsunął. Myśmy zaś kaszą i polewkami ich, a zielem różnem, mięsem solonem a słoniną kontentować

się musieli. Siła piliśmy, ale też ladaco, kwas i ich tam napoje nieosobliwe.

Wtem, gdy my tu lada godzina czekamy hetmana od chana, aby z nami szedł na Moskwę, przychodzi zamiast niego poseł, iż się rzecz inaczej obróciła, albowiem wielki sułtan turecki do Persyi się wybierał, z którym ów tatarski chan jechać był przyrzekł i musiał. Zaczem i pana naszego wzywał, aby z nim też do Persyi się wybierał.

Wielce się p. Samuel tym posłem zafrasował i omal nie w pasyą wpadł, nie wiedząc co czynić... a jako naturą jego zawsze jest i było, że długo czekać i trwać nie może, a w ogień się rzucić gotów, gdy mu krew zakipi, tedy mocnom go widział myślami utrapionym i niepewnym.

Posła tatarskiego zrazu odpuścił tak jak z niczem, aliści nocą się inaczej rozmyśliwszy, wysłał za nim pogoń i kazał go nazad strwożonego do siebie przywieźć.

Uszom moim wierzyć nie chciałem, gdy posłowi rzekł, iż gotów jest chanowi do Persyi towarzyszyć, byle mu poprzysiągł chan, iż za żywot jego i bezpieczeństwo ręczy wszędzie, aby go gdzie nie struto lub nie zabito, jak to u turków przychodzi.

Żądał, aby z tą przysięgą mu chan przysłał mustalika swego i przedniejszych murzów kilku, którzyby imieniem jego uroczyście to wedle obrzędu ich zaprzysięgli (przyczem oni wodę leją).

Dał posłom na to tydzień czasu pan i miejsce dla przysięgi wyznaczone zostało, z czego widzieliśmy posły uradowane wielce. Pan Samuel też animuszu sobie dodając, dobrej myśli był, z tej Persyi i dalekiej podróży u boku sułtana tureckiego wiele sobie obiecując, czemuśmy się dziwowali, a on naszą prostotę wyśmiewał.

W tem miejscu opowiadania, gdy Zarwaniec nieco spoczął, chcąc sobie gardło odwilżyć, rzekł pan Krzychnik do brata.

— Zawsze ten sam Samuel jako był, że mu się najszaleńsza impreza uśmiecha, choć w niej gardło waży, bez żadnej dla siebie korzyści. Więc tu ledwie kozaki sobie mało co ująwszy, już chana perekopskiego i sułtana tureckiego chciał w sak łowić... na pogańską ich przysięgę, która worka sieczki nie warta, życie ważąc.

— Myśmy też słudzy jego nie co innego myśleli— rzekł Zarwaniec wąsy ocierając — ale odezwać się z tem żaden nie śmiał, boby i po łbu mógł oberwać. A widzieliśmy pana naszego po odprawieniu posłów z tą odpowiedzią tak dobrej myśli i ochoczego, jakby cudu dokazał.

A no sam jeden ruszyć nie śmiał i nie mógł, potrzebował k'temu wojska kozackiego, a nas też wszystkich brał z sobą, jako się samo z siebie rozumieć ma. O czem dotąd ani kozacy, ani my nie byliśmy zawiadomieni.

Kozacka siła największa była na drugim ostrowie, który się zowie Czertomelik, a jest cale rozległy i otaczają go dokoła niezliczone mniejsze, różnej wielkości wysepki, jedne suche i skaliste, drugie gniłe i w moczarach a trzcinach całe, między którymi kozakiem potrzeba być, aby czółnem trafić, gdy dla owych trzcin światu nie widać.

Na wiosnę wszystkie one ostrowy bywają zalane, tak, że tylko większym cokolwiek czuba widać, a stał im za twierdzę najlepszą ten labirynt, nieprzystępny dla tych, co się tu nie rodzili lub życia nie strawili.

W małej gromadce płynął więc pan nasz na ten Czertomelik do starszyzny i do ludu swojego, jak przystało hetmanowi, ufając władzy swej, że rozkazania jego usłuchać muszą.

Nie od czegoż dzierżył buławę. Tu, gdyśmy na ląd wysiedli, zaraz się kozactwo obwołało i dokoła zebrało na posłuchanie słowa pańskiego.

I czynił do nich rzecz swą pan nasz bardzo gładko i foremnie, przedstawiając z tego korzyści, gdyby sobie ujął sułtana i chana. Już podczas gdy mówił, można

było dostrzedz, jak się lica kozakom zmieniły i zmarszczyły, a niektórzy, nie czekając aby dokończył, zaczynali w głos przeciw niemu krzyczeć, że ich na zgubę chce prowadzić.

Co się potem stało, jak zawrzało, zakipiało, jak się on naród podzielił, z którego przy nas i naszym panu mało co pozostało, tego ja i opowiedzieć nie potrafię, bom Panu Bogu ducha polecał, sądząc, że oto nam tu wszystkim ostatnia wybiła godzina.

Kupka nas nie wielka stała przeciwko wzburzonej gromadzie, a z kozactwa, choć niektórzy z początku pozostali przy panu, gotowość do posłuszeństwa okazowali, coraz się ich liczba pomniejszała, tak że ono było patrzeć, a ot sami będziemy na to zburzone pospólstwo.

I owo poszanowanie okazywane panu, jako hetmanowi, naraz się w zuchwalstwo zmieniło takie, iż nam pięściami pod nos przychodzili się odgrażać, a niektórzy doraźnym sądem, jako zdrajcę, hetmana chcieli już brać, i wodle obyczaju swojego, suknię jak wór szczelnie opasawszy, piasku w nią dla ciężaru nadziać i z tem w rzekę rzucić...

Najedliśmy się strachu nie mało, bo co pana czekało, to i sługi; ale pana onego trzeba było pod czas widzieć, jako pięknym był, iżem go w życiu nie widział wspanialszym.

Strachu by najmniejszego nie okazał, ale majestat i potęgę jakąś, taką straszną, iż ono chłopstwo w oczy mu spojrzeć nie śmiało. W bok się ujął, a usta mu drgały uśmiechem. Patrzałem na to, gdy Bielecki się do niego zbliżył i szepnął:—A co tera! szabli dobywszy do czółen się przebojem wyrąbywać!

— Milcz!—odparł p. Samuel — moja godzina jeszcze nie wybiła, ja tu i szabli nie dobywając radę sobie dam.

Tedy patrzym, a gdzie nieopodal najszaleńsza stała gromada kozactwa, co nam pięściami ciągle się odgrażali,

on sam jeden krokiem mierzonym i poważnym wprost szedł na nich.

Patrzyłem się na to, jak widząc go tak spokojnie ku sobie idącego, powoli się uciszali, a gdy o kroków parę przystanął, z tej wrzawy cisza nastała, jak mak siał.

Począł tedy mówić do nich wielce łagodnie i dobrotliwie ich hamując, ale z taką siłą jakąś, że im jakby zawiązał gęby. Jeden i drugi poczęli się po łbach skrobać, po sobie spoglądać, łokciami się trącać, mrugać i burza naraz ustała.

Coś się śmielszy jeden odezwał odpowiadając panu, ale p. Samuel wysłuchawszy go, znowu mówić począł. Gromada tedy powoli jako chmura groźna rozpływać się poczęła, rozłazić, i przy panu tylko w końcu kilku spokojniejszych pozostało, którym zlecił, aby zburzone umysły starali się uspokoić, a wszystko pójdzie dobrze.

Aniśmy się dla tego strachu, jak Bielecki chciał, zaraz z Czertomelika wynieśli, choć czółna pogotowiu były. Rzekł nam p. Samuel:—Myśleliby, że od nich uciekam, a ja nawet posądzonym być nie chcę, abym obawę miał, której w życiu nie doznałem, bo sobie moją cześć rycerską więcej ważę niż żywot marny.

Kazał tedy namiocik rozbić, który zawsze przy sobie miewał, i na nocleg się tu gotować.

Nazajutrz dodnia, sprawie nie koniec, burza się zerwała znowu, a nie mniejsza od wczorajszej, której pan Samuel dał przeciągnąć bokami, sam się nie nastręczając, czekając cierpliwie, ażby oni do niego przyszli.

Przez ten zaś czas jak się okazywał wesołym i bezpiecznym, ledwo kto uwierzy, co go tam nie widział. Bo że tu życie nasze wisiało na włosku, nie ma wątpliwości i od Procheram to później miał, że jego i nas wszystkich topić chcieli, a na lachów zdrajców okrutnie wymyślall, ale ku niemu się nikt nie ważył.

Znałem ci ja go mężnym i zuchwałym od dzieciństwa —mówił dalej Zarwaniec—ale takim, jak się tu nam

okazał, nie widziałem go nigdy. Jasne miał oblicze i uśmiechające się usta, a postawę przedziwnie pańską i swobodną, jakby wśród senatorów na radzie w zamku zasiadał.

Chłopstwo też ono wzrokiem raził, że mu do oczów spojrzeć nie śmiało.

A było tego nie dzień jeden, ani dwa, ale niedzielę całą z nimi musieliśmy przeżyć, spierając się, mitygując i skromiąc.

Koniec końcem, starszego wezwał do siebie, przyczem byłem, i rzekł mu:

— Swobody waszej—rzekł do niego — ja ukrócać nie myślę. Zechce ze mną który iść, wdzięcznie przyjmę; kto się oprze, gwałtu mu nie zadam. Może pozostać. Zatem straż aby była wyprawiona na uroczysko, kędy mustalik z murzami dla przysięgi zmówiony.

Na tem stanęło i spokój był przywrócony.

A no co się dalej przygodziło, w tem już wola boska była i osobliwe opatrzności zrządzenie. Na ono miejsce mustalikowi wyznaczone, na czas zmówiony, mimo chęci p. Samuel przybyć nie mógł, bo w tym labiryncie wysp i wysepek my z naszymi wioślarzami, choć cokolwiek obeznani byliśmy z miejscowością, skorośmy się zabłąkali. Ztąd czasu zwłoka.

P. Samuel podążyć nie mogąc posłał kozaków, mustalika prosząc, ażeby cokolwiek się przymknął bliżej.

Poganin zaś jako sam w sercu zdradę miał, tak się jej snać od nas obawiał i sam ruszyć z umówionego miejsca nie chciał, kilkuset tylko murzów swoich wyprawiwszy po hetmana.

Ci opowiadali, że mustalik z wielką wcale okazałością w tysiąc koni, z wielkim orszakiem, z darami bogatymi, z wielbłądami, z namiotami, z jezdnymi i pieszymi, oczekiwał na hetmana.

Murzowie przybywszy z pokorą i czołobitnością, poczęli modlić a prosić, po nogach niemal całując go, aby

do mustalika jechał, który go niecierpliwie z wdzięcznem sercem oczekuje.

Postanowione tedy już było, żeśmy ruszyć mieli, ale wojska niżowego bez przykazów i bez naznaczenia im starszyzny, a bez zastrzeżenia, aby się ono spokojnie zachowywało, pokoju nie zakłócając, nie mógł p. Samuel pozostawić. Trzeba było na to trzy dni, aby po starszyznę posłać i z nią się rozmówić.

Rzekł tedy murzom.

— Postójcie mało, sami to rozumiecie, że wszystkiego kozactwa z sobą do Persyi nie biorę, trzeba więc pozostałemu przykazać srogo, aby ordzie pokój dała.

Tu, muskając wąsa Zarwaniec, gdy dalej miał ciągnąć, dodał spojrzawszy na braci, którzy go z ciekawością wielką słuchali.

— Co powiem, będzie się może ich miłościom trochę dziwnem wydawało, a nie cale do prawdy podobnem, ale rychło ujrzycie p. Samuela, który słowa moje potwierdzi.

— Mów, cóż tedy tak nie do wiary być może, gdy o Samka idzie?—rozśmiał się Krzychnik.

— Poczęła się z murzami sprawa zaprawdę dziwna—ciągnął dalej Zarwaniec — bo nadzwyczaj gorąco i napastliwie nalegali, aby z nimi koniecznie i to nie zwlekając jechał, a z drugiej strony kozacka starszyzna, na bok wziąwszy hetmana, objawili mu, że oni tatarom tym i Chanowi ich i mustalikowi cale nie wierzą, a zdradę w tem wietrzą, iż inaczej nie jest, tylko sprawa napięta, aby jego ludzi i kozaków w niewolę wziąć i zgubić.

Zaklinali go więc, aby uchowaj Boże nie jechał.

Zdało się zaś p. Samuelowi, że kozacy zrazu wyprawie tej byli przeciwni dlatego strachy na lachy wymyślają, albowiem takiej jawnej zdrady nie mógł nigdy przypuścić.

Więc z jednej strony murzowie wołają: — Zmiłuj się, jedź, tam na ciebie jednego jak na syna rodzonego

sułtan czeka, sto tysięcy ludzi stoi, dłużej trwać nie może, bo i trawy i paszę wszelką wyjedli i czas mieli obrachowany. Więc na trzy dni pozwolić nie chcieli, ale wołali:—Jedź zaraz, jedź...

Do kolan przypadali ciągle, a złote góry obiecywali.

— Co tu czynić?

Kozacy ręce łamią i proszą.

— Jeżeli wam życie i zdrowie miłe, sami się dobrą wolą w ręce poganom nie oddawajcie. Zguba jawna. Dosyć w ich kose oczy popatrzeć, a jak się sobie uśmiechają radzi, że zdradę knują.

Drudzy zaś powiadali, iż niektórzy kozacy, w niewoli u tatarów bywali, a język ich rozumieli, pochwytywali takie wyrazy, jakby na zdradę wszystko wymierzone i obrachowane było.

Myśmy p. Samuelowi w oczy patrząc widzieli, że choć się maluczko wahał, ale serca sobie dodawał i miał postanowienie jechać.

Tedy murzowie ani nawet do wieczora nie chcieli czekać, a zaraz na koń. Przeszedł się po placu między nami zadumany pan i nagle krzyknął.

— Dawaj konia!

Murzowie się z pośpiechem rzucili zaraz i w mgnieniu oka rumaka mu okulbaczonego, gotowego, tylko siadaj, przyprowadzili. Zdało się tedy, że tak Bóg chciał i sądził.

Był koń, jakbym na niego jeszcze patrzył, pleśniawy, zbudowany krzepko, z okiem wysadzonem na łeb, z chrapami czerwonemi, niecierpliwy, że w miejscu ustać nie mógł, a kopał nogami i ogonem ze złości zwijał.

Tedy p. Samuel, choć wasza miłość wiecie jak na koniu jeździ i że mu najdzikszy nie straszny, spojrzawszy na tego, rzekł.

— A stępią on chadza?

Murza, który przy nim stał, odparł.

— Bystry jest.

Rzucili się zaraz innego mu szukać, bo powiedział, że bardzo znużonym się czuje, i chce sobie na siodle odpocząć.

Tymczasem on, już tylko na konia siadać, szablę przypasaną, sabajdak miał na sobie — począł zadumany się przechadzać, oczekując.

Patrzyliśmy na niego z żalem i trwogą, bo widać było, że w nim dwoje grało jeszcze.

Michał kucharz koło namiotu stojący płakał, i gdy się zbliżył ku niemu, rzecze.

— Paneczku mój, już ja cię pono oglądać nie będę, kiedy się sam na ich ręce zdajesz. Jest szczuka dobra, na poczekaniu gotowa będzie, najedz się choć na drogę.

Aż pan stanął, a że w istocie przez cały dzień czasu nie miał do gęby włożyć, zapachła mu szczuka i rzekł.

— Dawajże prędko.

I szedł do namiotu jeść, a tu mu drugiego konia już przyprowadzili. Znowu się kęs zwlokło. Miał tedy na koń siadać już, aż przy starszyźnie kozackiej, za jej naprawą, zażądał od murzów przysięgi na bezpieczeństwo.

Ci zaś wymówili się, iż przykazania nie mieli i ręczyć nie było ich rzeczą.

Kozacy to usłyszawszy, już nie patrząc na nic, prawie gwałtem pochwycili p. Samuela między siebie, niosąc na rękach do czółen, i siadłszy do nich, z samopałów ognia dawać zaczęli.

Murzowie się tego przelękli i odbiegli trochę, ale zaraz też do czółen się wzięli i już sądząc, że go prowadzą z sobą, odbili od brzegu, przodem śpiesząc, aby o nim oznajmili.

Kozactwo zaś go puścić nie chciało, a że na pożegnanie dużo pili, wzięła się na wpół w czółnach, wpół na brzegu taka ochota wielka, że p. Samuel o wszem zabył z uciechą na nią patrząc. Młodzież skoki takie i tańce

przysiadane wyprawiać, inni na kobzach grać, inni strzelać i hukać poczęli radośnie, aż się ziemia trzęsła.

Było co patrzeć na ich skoki, bo naród ten gibki jest i wyłamany tak, że mu we dwoje się zgiąć, w kłębek zwinąć, głowę między nogi włożyć—niczem.

Wśród tej zabawy noc zaszła i straż kozacka powróciła od granicy tatarskiej. Ci z sobą prowadzili kilkunastu człowieka, których trudno było zrazu poznać co za jedni, tak wynędznieni w łachmanach się przywlekli.

Gdyśmy się zbliżyli, buchnęła z nich radość, że nam się płakać chciało, bo to byli wszyscy polscy jeńcy, zbiegli od Tatar, którzy w tej ucieczce prawie męczeństwo cierpieli, a tu *salus* ujrzawszy, na kolana padali, ziemię całowali, a mało nie szaleli z radości.

Dopiero starszy jeden, który głowę jakby trupią miał z wychudzenia, gdy mu p. Samuela pokazano, podniósł ręce do góry,

— Pan Bóg—zawołał—niech będzie błogosławiony, że nas tu zawczasu przywiódł, abyśmy wielkiemu zapobiegli nieszczęściu.

Tamci tatarowie pętle wiążąc na was niecierpliwie czekają. Hetmana niewola i okup postanowiona była, a z ludzi, którzyby z nim przyszli, ani jeden nie miał powrócić ani żyw być, bo dla nich pale gotowano.

Posłyszawszy to pan nasz, że nie mógł wątpić, iż prawdę mu powiadali, bo za nich własna ich nędza świadczyła, rozsierdził się strasznie. Zaraz tedy do koni swych postanowił jechać, ludzi co najlepszych zebrać i za chanem ciągnąc z tyłu, aby go znienacka zarywać.

Jechaliśmy w czterdzieści głów wybranych o mil siedem, kędy stado się pasło, ale bardzo nieszczęśliwie, bo tam od robactwa jakiegoś i ludzie i koniska bardzo pnchły i zdychały.

Gdyśmy do koni przybyli, okazało się po oględzinach, że i dwu cale zdrowych nie było. Tedy kozacy dla słabości koni tych jęli mu odradzać bardzo, powiadając,

że zanim osłabłe szkapy przepławim, zemdlone popadają, i nie było co z takiem stworzeniem w paszczę tatarom leźć; co naszemu panu bardzo przeciwnem było, gdyż sierdzistości swej i zemście kwoli chciał koniecznie uczynić, a gdy co postanowił, wiadomo, że go przeprzeć trudno.

Dla koni się więc przewlekło, a tymczasem znowu języka dostaliśmy od straży kresowych z przekopy, że murzów tych, którzy do p. Samuela jeździli, srodze wszystkich pokarał, dlaczego nie zezwolili na przysięgę i na wszystko co chciał, byleby mu go przyprowadzili.

Ci też powiadali, że gdy murzowie wrócili, zastali tam posła perskiego u chana, który po to przybył, aby go co rychlej naglił do ciągnienia.

A z taką butą nalegali na chana, że mu losem jego brata Adligeraja grozili, który zabit był — mówiąc—będziesz-li zwłóczył i ciebie to spotka.

Upierał się jeszcze chan na p. Samuela czekać, zwabić się go spodziewając, bo okupu wielkiego żądnym był, ale pers mu ociągać się nie dał, i tak dziesięć tysięcy na straży od kozactwa zostawiwszy, ciągnąć musiał do sułtana tureckiego, a z nim do persa.

Na samem odjezdnem, ponieważ cale nie wiedział o tem, iż się jego zdrada wydała, przysłał jeszcze do p. Samuela posły, aby pokój zawarty z nim strzymał wiernie, napominając, za co obiecywał i dań na kozaki i chorągiew na wołochów jakby tylko z Persyi powrócił. A tak posłów tych odprawiono, nie dając nic poznać, a p. Samuel, gdy się na raz ujrzał bez żadnej imprezy przed sobą, począł być wielce markotnym.

Znacie wasza miłość naturę jego, że zawsze coś przed sobą mieć musi, czemby się porał, a zabraknie mu, uchowaj Boże, tedy jak niedźwiedź własnej łapy ssać nie będzie, ale musi sobie wyszukać coby mu myśl zaprzątnęło.

Widzieliśmy go przez dni parę chodzącego, jakby

z krzyża zdjętego i palce gryzącego ze złości. Przyczem kilku oberwało, co mu się podczas nawinęli.

Chybiła Moskwa, że na nią iść nie było można, do Persyi też nie szedł, a stać na Niżu i kaszę jeść z kozaki, nie jego rzecz była.

Na Wołochy się zaś gotował jeszcze w Złoczowie będąc, i na nich z tatarami i kozaki iść myślał, o czem oni byli uwiadomieni. Hospodar, choć może napaści tej nie bardzo się lękał, ale mu ona zawsze wypaść musiała ze szkodą.

Nakazał więc do p. Samuela w ten sposób: Zostaw ty mnie w pokoju, masz co lepszego do czynienia, na gródkach moskiewskich pogranicznych lepiej się obłowisz niż u mnie, a snadniej ci z nieprzygotowanymi będzie niż ze mną, który wiem i czekam.

Więc jeśli mnie w pokoju zostawisz, dam ci pięćset koni na Moskwę. Na którą propozycyę p. Samuel do czasu żadnej nie dał odpowiedzi, ale teraz mu ona przyszła na pamięć.

Bieleckiego tedy do hospodara wyprawił zaraz, dając mu cztery niedziele czasu na przysłanie posłów dla zmowy, do której gotów był przystąpić.

Otóż nam te cztery niedziele za dziesięć stały, a jak się to mówi po prostu, w gardle kością, że p. Samuelowi wszelkiej już cierpliwości i wytrwałości brakło.

Kozacy się poczęli na gwałt rwać, aby tatarów zarywać, coby im łatwo teraz i bezkarnie przyszło, bo chana nie było, sił nie mieli, a wioski tatarskie tuż ku granicy się przesunęły.

Śmieszno rzec, jakby się wieś z miejsca na miejsce przenosiła, ale u tatarów nie inaczej jest, tylko chaty na kołach, z wojłoków mają, a w nich wszelki sprzęt i niewiasty i dzieci. Dokuczy im co, albo paszę wyjedzą, lub wody powysychają, zaprzęgają do tych chat i ruszają gdzie się im podoba. O których powiadają, że naturę już nawet taką mają, z wiekuistego nawyknienia, iż w jednem miejscu, a w nieruchomym domu wytrwać nie zdołają.

O tych tedy wsiach, przy których zazwyczaj i stada koni i łupy ich są i jeńców przy nich trzymają, zasłyszawszy kozacy, rwali się na nich napadać.

Zaś p. Samuelowi nie po myśli to było, a musiał dobrze rozważyć, aby na niego nie rzucono, że nieprzyjaciela uspokojonego przeciwko rzeczypospolitej drażnił czasu wojny z Moskwą.

Z innych też względów nie zdało mu się swawoli kozackiej i samowoli folgować.

Więc cośmy z nimi za sprawy czasu tych czterech tygodni przebywali, ani opowiedzieć, ni zliczyć. Musiał pan nasz starszyznę sobie dobremi słowy a ciągłemi podarkami ujmować, bo z nimi bez datku nic nie zrobić.

Patrzyliśmy na to z bólem serca, jak mitygując ich i nie mogąc zjednać, codzień cośmy z sobą najlepszego mieli pomiędzy nich rozdawał. Poszło tak co było ochędożnej i pięknej broni, rynsztunku wszelakiego, szat, futer, naostatek pieniędzy do ostatniego niemal grosza. I bywało zdaje się, że już starszyzna uspokojona, przekonana, a mołojcy upojone i cicho, czekamy posłów od wołoszy.

Wtem przybieży od granicy język, jako wioski tatarskie prawie bezbronne, a łupu w nich siła, albo teraz lub nigdy na tatarów iść, których jak baranów zabrać można.

Zawichrzy się znów wszystko, lecą pod namiot do pana z krzykiem wielkim, żeby ich prowadził, że nie od tego hetmanem jest, aby ich hamował, ale aby im przodował, że przez niego szkodę ponoszą wielką.

A tu się jemu więcej oglądać przychodziło na rzeczpospolitę, choć króla nie cierpiał i nie cierpi, aby nieprzyjaciele nie powiedzieli, że na nią turków i tatarów zemstę ściągnął.

Więc znowu w prośby i zaklęcia i znowu starszy-

Дозволено Цензурою.
Варшава, 30 Марта 1898 года.



HE/M) 305

I.

Długo, niemal do końca żywota swojego, rzeczpospolita szlachecka stała obozem cała, tak nasze dwory i domy, w większej części z drzewa klecone, tymczasowo i niedbale budowane były.

Wiele się na to przyczyn składało, a naprzód nawyknienie, które najazdy i ciągła do wojny gotowość wyrobiły. Szlachcic przedewszystkiem do obucha żołnierzem był, na zawołanie na koń siadać musiał... nie gnieździł się więc stale, a znaczna część kraju na najazdy wystawiona, często ze dworów w lasy i niedostępne trzęsawiska, te twierdze swe jedyne, uchodziła. Dawnym obyczajem, więcej łożono na ruchomości kosztowne, które się przenosić dawały z miejsca na miejsce, niż na siedziby wytworne...

Na jednej wiosczynie szlachcic więcej się jeszcze do strzechy przywiązywał i koło niej troszczył, bo nie miał tylko ją; wielcy zaś panowie z rezydencyi do rezydencyi k'woli swych interesów, upodobań i stosunków wędrowali. Zachodziły wozy i sprzęt wszelki ciągnął długim sznurem za panem, albo go poprzedzał.

Ławy i stoły znajdowały się wszędzie po dworach, a co potrzebnem było do przybrania, ciągnięto za sobą. Kobierce, opony, naczynie, sprzęt drobny przenosił się z miejsca na miejsce łatwo.

znę ujmować, choć po kilka dni sobie pokoju kupując. My tymczasem w tej bezczynności, na ladajakim chlebie, często głodem przymierając jakeśmy się mieli, Bogu i nam wiadomo.

Znowu tedy z nudów tych ledwieśmy babom krosien nie zazdrościli, bo się ryby łowić i na ptactwo polować sprzykrzyło. Ludzie nasi wraz z kozakami po całych dniach pili, nie mając co czynić.

My zaś wszyscy jakośmy przycierpieli, to nic, ale kto pana Samuela, co on za męki doznał, wyrozumie! Bo nieraz się hamować musiał, do czego nie nawykł, a nieraz zuchwałe kozactwo mu niemal do oczów skakało, iż życie wisiało na włosku.

Podpił który, a miał na wątrobie co, szedł wprost, czapki nie zdejmując, pod namiot, siadał sobie za pan brat przy tym, którego oni batkiem czyli ojcem zwali, i bluzgał mu w oczy, co ślina do ust przyniosła.

Uprzątnęliśmy jednego, dopoiwszy tak, aby go na rękach z namiotu precz wynieść było można, nalazł się drugi, a najgorsza była starszyzna, która skosztowawszy podarków, coraz na nowe wyciągała, których nie było już z czego brać... Sepety nasze i wozy stały opróżnione, koniśmy pozbyli...

Tymczasem tych posłów wołoskich cztery tygodnic oczekiwanych, ani widu, ani słychu... dalej i drugie cztery—głucho... Można się było najcierpliwszemu wściec, co dopiero takiemu jak nasz p. Samuel, który nigdy czekać nie umiał.

Wiądł nam w oczach, ale mu wstyd było i żal porzucić tę imprezę nic nie dokazawszy, choć myśmy go na gwałt do domu z powrotem namawiali.

VI.

Westchnął i popił Zarwaniec, a panowie Zborowscy spocząć mu nieco dali, choć końca byli ciekawi, acz się dobrego spodziewać nie mogli.

Krzychnik pierwszy biadać zaczął.

— Było mu tam głowę nieść bez korzyści pomiędzy to kozactwo, gdy tu tyle jest do czynienia. Kosztem tych trudów a zabiegów byłby w mojem ręku więcej dokazał, a może cały naródby mu za to był wdzięcznym.

Gorzej tatarzyna nęka nas tu *Nigrum Concilum* ze swym chanem na czele. Na tego mu wyprawę było czynić, nie na Niż i dnieprowe ostrowy!

To mówiąc splunął podczaszy, a marszałek, który wiedział, że przy Zarwańcu wszystko mówić mógł co chciał i myślał, odezwał się.

— Słuchaj Krzychnik, niech ci raz prawdę powiem. Ty żar chcesz wygrzebywać Samuelowemi rękami, a czemu sam nie poczynasz?

Jam do tego niezdatny, ani się rwę, choć sercem i duszą z wami jestem; ty zaś, co się tak niecierpliwisz, czemu nie robisz nic.

— Bom tak jako i miłość wasza do roboty onej niezdatny—odparł Krzychnik.—Wymyśleć i wskazać co czynić, moja rzecz, a gdzie na koń siąść i z szablą drogę po nocach zabiegać i zasadzać się trzeba, jam do niczego. Każdy człek się do czego innego rodzi, p. Samuel rzutki jest i gdy w dobrych rękach, nieoceniony. Własną głową tak chodzi jak ono to na Niż, a za wskazaniem mojem, onby nas wszystkich z tej niewoli Batorowskiej wyzwolił. Jeżeli powróci, nie może inaczej być, ja go wezmę w swe ręce... Zobaczycie.

Pokłonił się słuchając Zarwaniec i rzekł cicho:

— Ino, proszę miłości waszej, pana Samuela wziąć a uczynić go komu posłusznym, to jest sztuka, której bodaj nawet pan podczaszy nie dokaże. Naprzód, że już za stary jest, aby swobody, do której dobrze nawykł, pozbyć się chciał, a potem krew ma gorącą, więc choćby się i poddał, w tem poddaństwie nie strzyma.

Rozśmiał się podczaszy.

— Ale on go ani czuć, ani znać nie będzie — rzekł — myśli toż samo co ja, pójdziemy ręka w rękę.., Zgodzi się ze mną, tyle tylko, że ja mu drogi wskażę i ułatwię.

Jabym mu wszystkich tatarskich Chanów i hospodarów wołoskich z głowy wybił, kiedy my tu nad sobą mamy taką żelazną rękę, że tchnąć nie możemy.

Daj Boże, aby co najrychlej przybywał.

— Takci będzie—dodał Zarwaniec—bylem grosza dostał, pośpieszy tu pewnie.

— Niechby choć przed weselem wczas stanął, boby się można zaskoczywszy pana młodego nie dopuścić do kobierca...

Wtem zwrócił się do Zarwańca.

— No mów, a kończ coście to tam jeszcze na Niżu dokazywali, z czem się chwalić myślisz?

— Niewiele z tego chwały — rzekł Zarwaniec — bo biedy więcej było niż chluby. Myśmy z tego próżnowania, jako i pan nasz, gotowi byli na wszystko.

Puścił się tedy p. Samuel dla rozrywki, jako i dla lepszego poznania tego kraju i rzeki, po Dnieprze, po ostrowach, opatrując brzegi, rozpytując ludzi o ich saletry, sole i wszelką kupią i płody.

Wtem gdy na rzece był, spotkał tych, co po sól jechali na brzeg morski, która tam latem osycha jako mąka leżąc na ziemi i bierze jej każdy kto chce, ile mu się podoba, nie pytając, bo to bezpańska jest rzecz.

Ludzie ci sól wiozący powiedzieli mu, że nieopodal na morzu galery widzieli, które na Dniepr płynęły.

Natychmiast wyprawił pan nasz straż *ad ostium maris*, kędy Dniepr w morze wpada, aby języka dostać i w istocie straż galery dwie na Dniepr wchodzące na, swe oczy widziała, a przy nich lądem tatarów tysięcy, jak oni liczyli, z dziesiątek szło, chcąc w ciasnem miejscu z kozaki się rozprawić.

Tego panu hetmanowi było potrzeba, który gwałtem bitwy pożądał... więc ludzi zebrawszy zasadził się tak, aby z galer ludzie wysiadłszy gdzie na ciasnem ostrowiu przydybał i tam je wybił do nogi.

Ale nie wiedział o tem, że nie wszystka to moc tatarska była, ale tylko przez Sydziaka wysłana kupka dla języka, którzy kozaków zoczywszy, ani się potykać myśląc, natychmiast tył podali.

Gdyby nie to, że się cokolwiek przypóźnił, pewnieby z nich żaden nie uszedł, ale po niewczasie próżny żal.

Więc wracaliśmy znowu do Siczy, i znowu na wołochyśmy się gotowali, bo tak ścierpieć nie chciał w próżnowaniu, gdy już posłów nadaremno się było spodziewać.

Gdy ciągniemy tak — co godzina to nowina; na pierwszym noclegu potykamy znowu z jassyru tatarskiego zbiegłych, których tu niemal każdego dnia było można znaleźć, bo się salwowali niebożątka jako kto mógł i umiał, a nie jeden wolał z głodu na stepie umrzeć lub w śniegu zmarznąć, niżeli w tatarskich pętach. Więc byle się okoliczność nadarzyła do ucieczki, biegli więźniowie, a co ich życiem przepłacało, któż to policzy? Nawet kości po nich nie zostało na tych pustkowiach.

Gdyśmy jeńców rozpytywać poczęli, wszyscy jednozgodnie mówili nam: na tatarów idźcie, teraz czas albo nigdy, bo tam na nich padła jakaś trwoga wielka, iż sama chanowa nawet do lasów uciekła.

Kozakom tego tylko potrzeba było, i posłyszawszy zerwali się gwałtem wielkim, aby zaraz iść nie mieszkając. Próżno p. Samuel chciał ich od tego odwodzić,

a miarkować, aby na Polskę pomsty onego czasu nie naprowadzili, gdy wojna moskiewska nad nią wisiała. Siła czasu upłynęło nim ich jakoś przywiódł do upamiętania, a polityki w tem wielkiej zażywając, posłał do chana z pięknemi słowy, aby trwogi nadaremnej pozbyła i bezpiecznie w pokoju mieszkała, gdyż jej jako syn dawną z ojcem umowę o pokój chce święcie dotrzymać.

Co zaś to kosztowało biedy i mozołu, długoby opowiadać.

Dosyć, że odprawiwszy szczęśliwie posły, sam do Wołochów się uparcie gotował, bo srodze obrażony był, iż mu nawet nie odpowiedzieli, lekko go ważąc sobie.

A no, jakom rzekł, każdy tu dzień inny wiatr wiał i nami miotał. Kiedy my na Wołoszę się gotujemy, przynoszą wieść, że tatarzy są na zamku Hasłanhorodku, tym samym, o który się był kniaź Rożyński kusił, kędy mizernie zginął, prochy podłożywszy, któremi sam się w powietrze wysadził.

Szliśmy tedy spieszno bardzo na Hasłanhorodek, a tatarzy o nas posłyszawszy, uskoczyli precz z obawy.

Nie wiodło się nam zrazu i tak już do końca.

Był z nami pod ten czas kozak, którego oni tam wszyscy w nadzwyczajnej mieli estymie, i Znachorem go zwali, iż umiał zamawiać strzelby i kule, tak, że wojsku, z którem on był, szkodzić nie miały. Inne też czarnoksięzkie sztuki wyprawiał, któremi sobie takie poszanowanie pozyskał, że mu się wszystko kłaniało. O czem hetman albo nie wiedział, lub sobie to lekceważył.

Do tatarów, gdy już odciągali, posłał p. Samuel tłumacza, zapraszając ich na rozmowę, przyczem kilku kozakom zasadzić się kazał dla bezpieczeństwa, aby tatarzy się na niego nie porwali. Pomiędzy którymi Znachor był.

Ten tatarów zobaczywszy strzymać nie mógł i wystrzelił do nich, a że hetman im za bezpieczeństwo ręczył, więc wpadł w pasyę taką, iż się na kozaka rzucił sam, chcąc go ubić, ale inni poskoczyli, obronili go i nie dali.

Tu dopiero widzieć było potrzeba i p. Samuela i kozaków onych, i srogą zaciętość z obu stron, z takim impetem, żeśmy sądzili, iż żyw z tego nie wyjdzie.

Jak się tam innemu kozactwu udało p. Samuela pohamować a Znachora przy życiu zachować, nie wiem spełna, bom dla ciżby, jaka się zwaliła ku nim, nic widzieć nie mógł i hetmana dopiero zobaczył, gdy jak z łaźni z rąk ich się wyrwał, przeklinając dzień ten i godzinę, gdy na Niż mu się zachciało. Aliści zapóźno było żałować teraz...

Na pociechę tylko z wołochy się wrzekomo składało, że u Probitego ku Bohu zjechać się zmówili, choć p. Samuel mało im ufał i nadziei miał, ażeby na nich co wymógł.

Gdy się tedy z kozaki za pomocą niektórych hetmanowi skłonniejszych uspokoiło do czasu, choć już do nich a oni do niego serce bardzo tracili, przysłali tatarowie z podzięką, że się za nich ujął i pokój chciał utrzymać, za co wywdzięczając ofiarowali mu wraz z ludźmi stacyą i wszelkie opatrzenie, jeżeliby tu chciał spoczywać, przyczemby i chanów poznał, bo się ofiarowali przybyć ku niemu. Za co hetman podziękował im, bo mu do Probitego pilno było, zbywszy ich:

— Na ten czas nie potrzebuję nic.

Więc z pod Hasłanhorodka jechaliśmy do Witoldowej Łaźni, gdzie się pamięć onego wielkiego wojownika nie tylko uchowała, ale budynki i piece okazywano, jakby z tych czasów gdy on tu stał, a w łaźni się parzył. Drudzy zaś mówili, że nie łaźnia była, ale komora, kędy kupce patrzył.

Zkąd pośpiesznie ku ujściu Dnieprowemu szliśmy dalej, a dziesięciu ludzi przodem słał do Probitego ku Bohu dla wołochów, aby jeśli się cośkolwiek opóźni, onych tam zatrzymali.

Tymczasem oni wysłańcy trafili po drodze na wa-

łęsających się turków i pojmali ich trzynastu, ale że pohańcom pomoc przybiegała, uszli z nimi pośpiesznie ku Bohu i aż do Probitego ich dostawili. My zaś dzień spoczywaliśmy na tym noclegu, zkąd straż była posłana, bo kozacy czółna trzciną obszywali, gdyż na morze były za małe.

Tuśmy się stojąc, a o zwierzu na wyspach, na morzu nieodległych słysząc, puścili na łowy.

Wtem słyszemy huk w dali, ale rozeznać było trudno, czy z dział ognia dawano, czy grzmot się rozlegał, bo w tej stronie na niebiosach chmury stały. Kozacy świadomi powiadali jedni, że na przekopie ognia dawano, drudzy zaś twierdzili, że grzmiało i łyskało.

Więc nie dorozumiewając się turków, płynęliśmy na morze pełne, bo ci, co ku Bohu szli, o nich nam znać nie dali. Cicho i bez zaczepki przekop minęliśmy, tatarom pokój dając.

Kiedy potem patrzym, na morzu jakby zamek znaczny albo budowanie się ukazało, a mrok padał, więc rozeznać było trudno, co przeciw siebie mamy. I tak na noc przyszliśmy.

Dopiero gdy dnieć zaczęło, okazały się tureckie galery z ludem wojennym mnogim, że już mylić się nie było można.

A panu Samuelowi zaraz serce urosło i aż mu oczy zapłonęły.

Więc się do kozaków obrócił.

— A co, panowie mołojcy! szczęście nam samo się w ręce podaje; przy pomocy Bożej, może być i sława i korzyść nie mała!

Przyczem na galery wskazał, ale kozacy, choć zawsze ochotni, głowami potrząsali.

— Tuby nam — rzekli mu — o tem myśleć, jak co najprędzej uchodzić, bo siła nie na naszą garść, zgnietliby nas pewno. Mierzyć się z nimi ani próbować...

A naszemu panu okrutny żal był okazyę potkania

się stracić, ale sam wreszcie widział, że szczerze mu radzą, i że nie pozostało nic, jeno uchodzić co rychlej. Do Bohu siedem mil było, ucieczka przed galerami trudna, a zguba pewna. Co najgorsza, że kozacy z temi czółnami ani się chcieli mierzyć przeciw galerom i stał się niepokój wielki, wołanie, czem i hetmanowi serca odjęli. — Uciekać!— wołali—uchodzić!—i czółna zwracali. Panu Samuelowi zaś, gdy już ratunku w ucieczce nie widział, zdało się po rycersku dostać placu i życie ważyć, począł więc na nich krzyczeć.

— Niech was, mołojcy, nie obchodzi lik pogan, myśmy ludzie chrześciańscy, Pana Boga prawdziwego słudzy. On nam wszechmocnością swą pomagać będzie i sił doda... Idźmy śmiało, a z pomocą Bożą i tej ich armacie i im, bluźniercom niewiernym, rady damy... zwyciężym ich...

Tymczasem czółna już i my na nich uchodziliśmy, a p. Samuel stojąc wciąż mitygował, zaklinał, aby sobie sromu nie czynili, a raczej się zwrócili mężnie i do bitwy gotowali.

Aż tu przedniejsza galera, na której ich tam starszy był, wysforowała się naprzód, goniąc nas, nimby inne ruszyły, i krzyki ich: Ałłah! Ałłah! zdala nas dochodziły. Kozacy z czółnami do brzegu już przybiwszy, wysiadać i pierzchać chcieli, ale srom ich owładnął na ono wołanie hetmańskie. Siedli do czółen napowrót. P. Samuel wielce tem uradowany, chwalił im to, zwycięztwo obiecując, bo mu się wielce bitwę stoczyć pragnęło, że życie dla niej gotów był ważyć.

Galera owa ich hetmańska coraz się ku nim przybliżała, która była ze wszystkich największa i najpiękniejsza, a sunęła tak, żeśmy nie tylko ich bębny, surmy słyszeli i okrzyki, ale zielone chorągwie powiewające nad nimi widzieli. P. Samuel z kozaki stał śmiele, to im zaręczywszy, że skoro z jedną tylko galerą mieć będą do czynienia, przemódz ich dzielnością swą potrafią.

Stał cały jak w ogniu, trzęsąc się z niecierpliwości p. Samuel i spostrzegłszy, że sternik jego czółna słabnie i źle kieruje, o mało w miejscu nie ubił, że mu go z rąk ledwie wyrwano.

Turcy się tej garstce śmiałej dziwując, już zaprawdę gotowali osaczyć i wszystkich pojmać jako w sieci, bo wielką przewagę mieli, gdy galera na piasku im utknęła— ani ruszyć. Tam, gdzie czółna kozackie płynęły swobodnie, oni jak przykuci siedli.

Począł p. Samuel wołać, aby reszta spóźnionych przybywała, wielkim animuszem swym rzucić się na nich zamierzając. Ale kozacy się nie ważyli i zamiast ku galerze, do brzegu sterowali—ani było ich zmusić. P. Samuel napróżno ręce łamał, prosił i zaklinał.

Wtedy Turcy obaczywszy, że im uchodzimy, z dział ognia dawać poczęli. Kula jedna tak nieszczęśliwie padła, że sternika który tuż przy panu stał, trafiła, a ten podle niego kozaka sobą padając w morze wywrócił, którego ledwie wyratowano.

Kozactwo zaś, które zrazu chęć dobrą okazywało i na które hetman najwięcej rachował, do brzegu przybijając poczęło się mieć do ucieczki. Próżne było rozpaczliwe hetmańskie wołanie, aby drugim strachu nie wrażali i sromu sobie nie czynili — gdy kule tureckie coraz w czółna trafiały i dziurawiły je, tak że zatykać było trzeba, aby ich woda nie zalała.

Wziął się zamęt wielki, a pan nasz o wszystkiem zapomniawszy, wrzał tylko tem, jakby się bił i zabijał. Turcy widząc, że na morzu nic nie uczynią, poczęli na ląd wysiadać, kozacy też wszyscy niemal wylądowawszy na brzeg, około hetmana się skupili.

Bitwa strzelbą się rozpoczęła gorącc, na którąm patrzał, bo przy nim byłem. Kule ku nam wszystkie wymierzone jak grad dokoła padały. Co zobaczywszy kozacy chcieli go na wzgórze uprowadzić, albo kupę tę, co go otaczała, rozproszyć, bo za cel służyła.

Hetman chłopca, który przy nim ze strzelbą stał, ledwie popchnął od siebie, gdy kula go ugodziła i na pół rozcięła... tylko że mu rusznicę mógł pochwycić! W tym zgiełku mało co widzieć a jeszcze mniej rozpoznać było można. Tylem na oczach miał, że p. Samuela baczyłem ciągle się naprzód rwącego, ognia dającego, a cudem Bożym, choć gęsto go ostrzeliwano, żadna kula go nie ugodziła.

Wtem między turki okazało się, co zaś nie wiem, jakby bałwan jakiś we srebrnej zbroi, do którego zmierzywszy p. Samuel raz i drugi ognia dał, aż się z niego blachy posypały. Chorągiew też jedna się zachwiała i padła, poczem lament usłyszeliśmy i wołanie przeraźliwe: Ałłah! Ałłah! co kozacy rozumieli, jakby oni sprawę swą za straconą mieli.

Wnet też i im męztwa przybyło, gdy się obaczyli, że nie tak turcy straszni, a od kul ich ten był ratunek, iż tam właśnie dzikie świnie doły ogromne poryły, w których jak za szańcami kryć się było można.

Pan nasz, jako strelec doskonały, cudów prawie dokazywał, na cośmy patrzyli, gdy rzędem siedzących na ławie galery turków ze śmigowicy wszystkich jednym strzałem raził i położył.

Wtem Turcy dwie galery wyprawili ku Bohowi, aby tam tatarów przewoziły, którzyby kozakom tył zabrać mogli, i znowu się stała trwoga, a kozactwo do ucieczki się zabierało. Tylko pan nasz i nas kupka sercaśmy nie stracili.

Zgromił pan uchodzących sromem wielkim, że ich świat ma za rycerzy, jakim równych nie ma, a oni tchórzem podszyci — i trochę ich powstrzymał, ale też turcy zamięszanie u nas spostrzegłszy, otuchy nabrali i na ląd wysiadać poczęli, działa z galer na nas wymierzywszy.

Hetman przeciwko wysiadającym sam się ze swymi ludźmi ruszył, gdzie mężnie się potykali, choć nas było nie więcej kilkudziesięciu, a turków przybywało. Ja-

koś to znowu kozaków zachęciło, iż się zwrócili za naszymi.

Wtem dano znać hetmanowi, że tatarzy biegną turkom na pomoc od brzegu i rzucił się do strzelby, ale popłoch był próżny, bo nie tatarzy, ale naszych reszta pośpieszała na pomoc, co męztwa dodało. Dosyć, że i nasi i kozacy parli turków z wielką rwąc się gorącością. Padło tam na placu turków dosyć, przytem pono i Sędziak ich alias hetman padł także, wpław do swych galer uchodzić zaczęli. Nad tym płaczące chłopię kozacy napadłszy, na sztuki rozsiekli.

Na tem tedy koniec był, bo gonić turków nie przystało, więc szliśmy z kozaki wraz lądem dla spoczynku w miejscu bezpiecznem, gdy nadbieżał kozak dając znać, że tatarów kupa nadciągała. Tych p. Samuel chciał fortelem pożyć, aby ich pewniej zniszczył, miał bowiem z sobą nie wiem po co przygotowaną turecką chorągiew, którą wystawić w górę kazał, aby tatarzy turków zwycięzcami sądzili i śmiało następowali, a kozacy wtedy z tyłu mieli ich zajść, gdy my czoło im stawiliśmy.

Kozakom też się to spodobało, a że z nich wielu języka tureckiego cokolwiek znało, więc naśladując ich wołanie, jeszcze ich bardziej przynęcili. Byłoby może się powiodło, ale drugie kozactwo prędko ku nim skoczyło, czem tatarowie spłoszeni tył podali. Tych w pogoni cokolwiek nabito, a gdy trupy obdzierano, powrócili tatarowie, kozacy ich dobrze odparli.

Tymczasem z galer strzelano i było tego niepokoju i miotania się dobrze na godzinę w noc.

Wreszcie się trzeba było do czółen wrócić i o sobie myśleć, aż gdy do nich przyszedł pan hetman z kozakami, znalazł mało nie wszystkie zniszczone, z których ledwie całych osiem zostało. W te trocha kozaków siadło, ale gdy wiatr wstał, zaniósł ich na brzeg tatarski i wszyscy się do niewoli dostali.

Rannych co było na jeden czółen położywszy, któ-

ry miał wedle brzegu płynąć, szedł p. hetman pieszo, a za nim pogoń tatarska, która się coraz powiększała, czem kozacy mocno się trwożyć poczęli, tylko nasz pan najmniej serca nie tracił. I jako to jemu własna rzecz jest, im w większem był niebezpieczeństwie, tem się zdawał weselszy i śmielszy.

Począł ich tedy napominać rycerskiem słowem o śmierci chwalebnej, choć nie wiem, czy tam pod ten czas słowo mogło wiele, choć im obiecywał, że byle śmiało szli, pewnie zwycięzko wyjdą.

Ale drugie okoliczności smętne serce odejmowały, bo głód morzył i żywności żadnej nie było, a ranni na czółnie, nie mogąc dla piasku się wygrzebać z tego miejsca, wołali, aby ich dobito, żeby się nie męczyli nadaremnie. To się stało dopiero drugiego dnia na rzece Bohu. Półtora dnia naówczas, prócz wody, nic w gębie nie mieliśmy, a gdzie który liści narwał i żuł, lub korzonków próbował, a drudzy żołędzi. Kupą się trzymając ciągnęliśmy do Bohu ku Ingułowi, a tu niektórzy kozacy się znaleźli, co byli pouciekali i przy nich żywności trochę ladajakiej, ale ta jak najprzedniejsze smakowała marcepany. Nad Ingułem konieśmy zastali wprzód tam posłane... a no i koniom i ludziom, nam wszystkim w tych polach dzikich a pustych głodna śmierć groziła. I cośmy tatarskiej strzały uszli i jassyru — widzieliśmy, że przyjdzie w męczarniach ginąć...

Co było w czółnach, wszystko Turcy popsowali i z wodą poszło, a przy sobie mało co kto miał i tego nie stało. Zwierza zaś ubić albo ptactwa nie nadarzyło się, więc konie wszystkie rozdał między kozaki, a no tych nie wiele było, a wojska wszystkiego z półtrzecia tysiąca, gdy się razem zebrali.

Nie wiedzieć co poczynać już było, ale hetman głowy nie tracił, kilkunastu ludzi lepszych wybrawszy, z nimi jechał do Probitego uroczyska ku Wołochom, a że

rybaków kilku tureckich pochwycić się udało, od tych o straży wołoskiej dostaliśmy języka na Martwej Wodzie.

Zaczem do Martwej Wody, gdzie nikogośmy nie zastali, tylko świeże stanowisko, doły od ogni i barłogi. Było już nas tylko jedenaście człowieka, a Wołochów tam stało osiemdziesiąt, ale dla żywności byłby p. hetman na nich napadł. Tymczasem nic, szukaliśmy dalej wiatru w polu jako powiadają, a kozacy z głodu puchli i zdychali. P. hetman też tak nic nie jadł, krom żołędzi jako i drudzy. Nocy już tu nie stojąc pociągnęliśmy do Kremeńczuka. Tu znowu żywej duszy, ni chleba, ni żadnej rzeczy... Wróciliśmy do Probitego uroczyska.

Patrzym, na ścianie węglem pisanie świeże: «Jeżeli tu kto przybędzie z wojska hetmańskiego, powiedźcie o nas na Krzywem uroczysku...»

Duch dopiero w nas wstąpił, jechaliśmy jakby zmartwychwstali, a tuśmy przyboczną straż pańską znaleźli, o której myśleliśmy, że ją turek pochwycił, Dopiero ryb nałowili nam i nagotowali a napiekli, i ludziom trochę sił powróciło.

A no tu jeszcze szpary nam nie zaszły, już się na wołochów gotował, zasłyszawszy że ich pobliżu półtorasta było, tak żądnym był wojowania — ale wołochowie zawczasu tył podali.

Zarwaniec mówił ciągle, gdy pan Krzychnik szeroko a głośno ziewnął.

— Czyż jeszcze niekoniec — spytał — waszych spraw ukrainnych i niżowych, bo ja ich mam dosyć, a sądzę, że i p. marszałek nie żądny więcej.

Zarwaniec wąsa pokręcił.

— Jak przykażecie—rzekł—mnie się zdało, że juści p. Samuela męztwo nie obojętne braci... My ztamtąd do Soroki iść mieliśmy, a obróciliśmy drogę inaczej, bośmy z Bracławia się żywności spodziewali—a nędza taka była dla głodu, że kozacy kości, kopyta, rogi w ziemi zagrzebane zdawna i pogniłe dobywali, jedli i od nich umierali.

— Tośmy słyszeli—przerwał Krzychnik—a no powiedzcie jakże się to skończyło i kędy hetmaństwo z buławą poszło? bo powiadacie, że Samko powraca.

— W drodze jest pewnie — dodał nieco zmitrężony Zarwaniec.—Co się tknie hetmaństwa i Niżu, jam prosty człek, jakem szedł za panem nie wiedząc po co, tak wróciłem nie wiedząc dlaczego.

Poruszył ramionami.

— Dać Bóg przybędzie pan Samuel, to on lepiej wytłumaczy wszystką tę swą podróż, ja tyle wiem, że dalibóg między kozaki pamięć o nim zostanie, iż takiego nigdy nie widzieli.

— Pewnie!—zaśmiał się Krzysztof—pewnie, męztwa mu nie odjąć, ale po co się to wszystko zdało. Na Moskwę chciał, na tatarów się rzucił, wołochom się odgrażał, kozaków zmitrężył, a w końcu nie dotrwał nigdzie i wszystko straciwszy powraca z tym jednym łupem, że rozumu się nauczył może.

— Gdybyż!—westchnął marszałek.

Zarwaniec się obraził.

— Proszę o przebaczenie miłości waszych—rzekł—panu naszemu rozumu nikt odmówić nie może...

I skłonił się sztywnie, a czoło mu się pofałdowało.

— Ja też mu tego nie odmawiam — odezwał się Andrzej — ma rozum dla drugich, a dla siebie go nie używa.

Po co było na Niż? chyba aby stracić i koni i ludzi i pieniędzy siła, a powrócić z kijkiem miasto buławy... Po co było na Niż?

Zarwaniec stał i coś mruczał pod nosem, lecz jawnem było, że mu się pana bronić chciało i język okrutnie świerzbiał.

— A! miłościwi panowie — rzekł — ktoby w tym człowieku siedział, a było mu jak jemu markotno, a cho-

dziłyby za nim wszędy widma i mary, nie dziwiłby się Niżowi, a ahoćby i gorszej alternatywie.

Wtem Krzychnik się zżymnął.

— O jakich widmach i marach prawisz, człowiecze?—zakrzyknął.

Zarwaniec jakby mu usta na kłódkę zamknął ani słowa... Powtórzył to pytanie raz i drugi, nic z niego nie dobył.

— Cóż milczysz? wszakżeśmy sami! — rzekł podczaszy.

— Nie mnie stawać w pańskiej obronie przeciw bratu — dodał Zarwaniec — ino tyle powiem, że jego tą miarą nie trzeba mierzyć, co pospolitego człowieka.

I westchnął.

Zmiarkowali ichmość, że pytać się nie godziło, a przynajmniej nie o wszystko; a Krzychnik pomyślawszy, cicho szepnął.

— Wojtaszek gdzie?

To imię Wojtaszka na Zarwańcu zdawało się czynić nieprzyjemne wrażenie, aż się wzdrygnął. Skrzywił się mocno, ręką machnął, splunął.

— Bogdajbyśmy go byli nie oglądali — rzekł — to zgaga i nieszczęście nasze ten człowiek, bo pana nienawidzi, wszystkie tajemnice wie i gotów je sprzedać, a pan go dla pieśni lubi i boi się, i sam nie wie, czy go ubić, czy go głaskać, bo wypuścić w świat nie można.

Zmarszczył się mocno pan podczaszy.

— Wojtaszka nam pod niebytność pana jak oka we łbie pilnować kazano—mówił dalej Zarwaniec—a to bestya zuchwała i wszeteczna. Nikomu nie daruje w domu, wyśmiewa wszystkich, szpieguje wszystko...

Niecierpliwie podczaszy przerwał mówiącemu chrząkaniem i oburącz mu ukazał na gardło, poczem dodał.

— I po wszystkiem!

— Płakać po nim będzie!—ruszył ramionami Zarwaniec.

Chwila milczenia nastąpiła.

— Dostałeś pieniędzy?—spytał podczaszy.

— Mało wiele—odparł stary sługa—jam się u miłości waszej spodziewał pożywić.

— U mnie!—krzyknął p. Krzysztof—a toś mi dobry! Ja pieniędzy nie daję nikomu: biorę od każdego co daje, a dla Samuela, dla tego dziurawego worka bezdennego, jabym miał mój grosz krwawy dać!...

Ruszył ramionami raz i drugi, a patrzącemu na się Zarwańcowi, milcząco wskazał na pana Andrzeja. Ten też siedział jakby nie słyszał czy nie rozumiał.

— Panie marszałku—począł sługa.

— Jeżeli się z tem do mnie zwracasz—rzekł podnosząc głowę p. Andrzej — toś i tu chybił. Krzychnik nie chce dać, a ja nie mogę dać, bo nie mam. Mnie się zda, że albo do Włodkowej, albo do dzieci z tem potrzeba... choć jam pewny, że nim ty z pieniędzmi przybędziesz, Samko już ich sobie dostanie.

— A powiedzcie mu niechaj do nas pośpiesza — dodał Krzychnik — bo mnie jest potrzebny i całej rodzinie. Ma głowę nadaremnie ważyć, niechże krwi swej usłuży. On jeden albo nikt tę gadzinę Zamojskiego zdusić może.

Naówczas dla króla aptekarzów i pigułek szukać nie będziemy potrzebowali, bo gdy hetmana nie stanie, król bez rąk się uczuje i nie ruszy. Ino Samko niech pośpiesza, bo się na wesele gotują, a lepiejby go przedtem sprzątnąć, aby nie tryumfował.

Gdyby nie ten wasz Niż—mówił dalej Krzychnik—jużby pewnie wszystko było skończone.

Stary Zarwaniec słuchając, jakoś nie bardzo to brał do serca, nie spodobało mu się, iż podczaszy sam w kąt się chowając, Samuela chciał na chyż wystawić, i jego rękami żar grzebać, aby swoich nie poparzył. Mil-

czał więc. Oburzało go to, iż pieniędzy dać nie chciał, a życie wziąć był gotów.

— Naszemu panu po tej imprezie spoczynek należy — odezwał się.

— Komu? jemu? On nie spoczywa nigdy! Nie damy mu roboty, to sam znowu drugi Niż wymyśli, a to jeszcze łaska Boża, że go jak przed kilku laty tak i teraz uniwersałami nie gonili, chwytać nie kazali i banicyi nie przypominali.

— Tać dawno przyschła — rzekł Zarwaniec. — Wiadoma rzecz, iż pan nasz chodził z wojskiem na Moskwę, nie mówili mu nic, po sejmikach i zjazdach się okazywał, więc obawy o to nie ma.

Andrzej głową trząsnął.

— Temuby zbytnio nie ufać—rzekł.—Banicya nie zniesiona, kiedy zechcą ją odnowią, bo ona nigdy waloru nie traci, aż prawnie odwołaną zostanie.

— Zapomnieli o niej wszyscy potroszę — rzekł Krzychnik.—Samuel się też zbytnio na oczy nawijać nie potrzebuje. Ja mój plan mam, bylem jego dostał.

Pochwycił Zarwaniec za czapkę, która na ławie leżała i szepnął, co więcej panu mu powiedzieć zlecą

— Nic krom tego, ażeby skoro przybywał, bo mnie i nam tak potrzebny jest, jak nigdy nie był. Nie baw, pośpieszaj, a gdy Samko powróci, znać mi dajcie, abyśmy się zjechali.

Skłonił się Zarwaniec i wyszedł.

VII.

Było to na krakowskim zamku, pod niebytność królewska, gdzie sama tylko Anna królowa pod ten czas mieszkałą; a dokoła jej spokój wielki panował, bo się wszelkie życie na dworze króla i w dworcu hetmana skupiało.

Na zamku więc pusto było i smutno. Tu mała tylko garstka przyjaciół i domowników królowej przesuwała się cicho i skromnie.

Nie te to już były czasy, gdy Anna Jagiellonka po śmierci brata, czoło stawiąc senatorom, elekcyę gotując, krzątała się i na posługi miała możnych ludzi.

Teraz ona, królową zostawszy, wistocie panią być przestała. Dawano jej i opatrywano potrzeby, nie zbywało na niczem, ale wpływu najmniejszego uzyskać nie mogła.

Małżeństwo z Batorym było tylko pozorem, aby jako mąż i król mógł panować, ją wyzuwszy ze wszelkiej władzy.

Nie komu to ona nie przypisywała, tylko Zamojskiemu, a bolało ją mocno to wydziedziczenie... Kanclerz grzeczny i zimny, krew królewską i dostojeństwo szanował, ale o tem co się władzy i rządu tyczyło, ani mówić dawał. Sadziła królowa kwiatki, suszyć kazała zioła do apteczki, myślała o grobach dla matki i brata, wychowywała sieroty, pilno korespondowała ze Szwecyą, i tam się oczy jej zwracały i jej nadzieje, tam był ten, którego za syna sobie przybrała... Zygmunt, któremu ona wszelkiemi sposoby zapewnić chciała po Batorym następstwo.

Nie mając kogo kochać, do tego dziecięcia dorastającego przywiązała się zaocznie z całą namiętnością sieroctwa swojego. Choć w ten sposób matką być chciała.

Król na krakowskim zamku gościem bywał, albo w Grodnie dla łowów, albo na granicach dla wojny mieszkając. W Krakowie mu było dla królowej ciasno i markotno, bo ta starsza daleko od niego niewiasta przypominała mu, że ją dla korony poślubił. I rumienił się wojak a potargiwał brodę, chociaż tu był w swym żywiole, bo wojnę miał i ład do zaprowadzenia i człowieka, który myśli jego zgadywał, a cudownie je spełniał.

Tym człowiekiem był Jan Zamojski, którego głową i rozumem wszystko stało, bo Batory kraju nie znal, z ludźmi nie wiedziałby jak się obchodzić i bez niego może jak Henryk byłby tron porzucił, na którym mu spokojnie usiedzieć nie dawano.

Zrana tego dnia, ów zamek cichy, nagle się zaludnił, hetman i kanclerz przybył z Knyszyna, a skoro się o tem wieść rozeszła, popłynęły strumienie ludzi ku niemu, bo to drugi król był, a choć go niechętni głową czarnej rady zwali i gorzej, wszystkich oczy były na niego obrócone.

Z górnych okien fraucymer skromny królowej pani patrzał na wozy, które na zamek zachodziły, bo hetman się tu mieścił, aby być królowi na zawołanie pod bokiem.

W sile wieku był naówczas ten mąż, który wodze rzeczypospolitej trzymał w swym ręku, postawy wspaniałej i pięknej, lica męzkiego, na którem rozum i stateczność jakby wypiętnowane były. Na hetmana i kanclerza nic mu nie brakło, bo i wymowę i postać i obyczaj miał senatorski, a mimo dobroci serca, więcej w nim stałość i hart niż miękkość jakąś widać było. Nie będąc z powołania rycerzem, gdyż więcej piórem niż szablą, i głową niż ręką pracował, hetmanić umiał i buława mu tak przystała, jakby się z nią urodził.

Kochali go otaczający, ale więcej jeszcze szanowali i obawiali się, bo wiedzieli, że nieubłaganym był, gdy ze słabościami ludzkiemi miał do czynienia, i choć im

przebaczył niekiedy, nigdy ich niewinnemi nie poczytywał.

Skaził się kto w jego oczach, trudno już było tę skazę zmazać... pamiętał ją zawsze.

Ze dworu i wozów poznać było człowieka: ludzie karności wielkiej, milczący, przybór pański, ale niewystawny, przepychu nigdzie, świecideł żadnych.

Nie ruszyliby się tak ludzie może na wiadomość o przybyciu króla, jak na wieść, że kanclerz przyjechał. O niego się opierało wszystko.

Ledwie wszedł do swych komnat, do których mu przyboczny jego Heidenstein towarzyszył, gdy z miasta na koniu nadbiegł mężczyzna średnich lat, ogorzały, krępy, twarzy rycerskiej, ruchów żołnierskich, skromnie odziany... a tak pędził, aby stanąć co rychlej, że gdy już u progu komnat był, pot z czoła długo ocierać musiał i dyszał, bo mu w piersiach tchu brakło.

Wreszcie wypocząwszy nieco za klamkę ujął, a w przedsieni znajdująca się służba zaraz mu drzwi do hetmańskiej izby otworyła.

Zamojski siedział za stołem wypoczywając, a gdy wchodzącego zobaczył, ręką mu skinął uprzejmie i uśmiechnął się.

— Ażaliś się ty mnie spodziewał?—zapytał.

— Choć nie wiedząc ani dnia, ani godziny — odparł rotmistrz piechoty Mroczek, ulubiony i zaufany sługa hetmana.

— Masz-li co nowego?—zapytał hetman.

— Siła rzeczy jest—rzekł rotmistrz—ale wszystko odgrzewane.

— Co Zborowscy robią?—zapytał Zamojski trochę się marszcząc.

— To co zawsze, spiskują — odparł Mroczek — a mnie się widzi nie przestaną, aż po łbie który z nich oberwie.

— Myślę, że groźby dosyć będzie — odezwał się

Od mieszkań też nie wymagano wiele, byle dach nie zaciekał, a piece i kominy nie dymiły. Zimą w tych grubach noc i dzień stróże drzewa dokładali, śpiąc przy nich nawet...

W XVI wieku rzadki był dwór pański, z wyjątkiem zamków na krakowskiej ziemi, któryby wygodnym i pokaźnym mógł się nazywać. Na ladajakiem podmurowaniu lub i bez niego na mocnych podwalinach, z grubych kłód ułożone ściany, z wysokim dachem, najczęściej bez piętra, stanowiły pańską siedzibę, mniej więcej rozległą. O powierzchowność wcale się nie starano, aby ją ozdobną uczynić. Chorągiewka z herbem na szczycie stanowiła czasem jedyną ozdobę.

Drzewo było prawie wyłącznie używanym materyałem, już dlatego, że o nie najłatwiej było, a każdy wieśniak cieślą był i ladakto budowniczym, już dla tej wiary, że w murach, choć suchych, powietrze nigdy zdrowem być nie może.

W czasach, o których mowa, w wielu zamkach królewskich nie było podłóg i zastępowały je tokowiska, skoble i zamki u drzwi proste, stropy z belek i tarcic układane.

Cóż dopiero po szlacheckich dworach? Gospodarz na siodle lub na dyszlu większą część dnia spędzał, a gdy do chaty powrócił, nie potrzebował żadnych wymyślnych przypraw, aby mu ona smakowała.

Zbytek był w odzieży, uzbrojeniu, w jadle i napojach, ale go w mieszkaniach nie było... dlatego nam też mało pozostało z nich pamiątek... Lada nieostrożna iskierka obracała te gniazda w perzynę...

Obozował też pan i szlachcic niemal przez życie całe, i kaleka chyba, a nieudolny starzec domu mógł pilnować. Kto nie był żołnierzem, służyć musiał jako urzędnik i z miejca na miejsce się przenosić. Zjazdy też częste, narady, komisye spoczywać nie dawały. Stajnia każdego czasu zaopatrzoną być musiała w konie i wozy, aby

na zawołanie pana ze dworu przenieść gdzie kazał... I wszystko potroszę z domu do tego rodzaju życia się zastosowywało. Śpiżarnia gospodyni w zapasy była zaopatrzoną zawsze, aby bez nich pan w podróż nie ruszył. Nie było dworu bez namiotu, bo i takie się wycieczki trafiały, w ciągu których na gospody i dwory wcale rachować nie było można...

Nawyknienie do tego ruchliwego życia czyniło je nietylko znośnem, ale nawet niejeden tęsknił za niem... Siedzącego i spokojnego żywota szlachcic nie znosił, a gospodarka mu nie starczyła, ani łowy, któremi się rozerwać usiłował.

Pomimo tego ruchu na gościńcach, można powiedzieć aż do ostatnich czasów, gospód tak dobrze jak nie było. Służyły one tam tylko, gdzie stały osamotnione; od wsi i osad oddalone; szlachcic bowiem zajeżdżał do dworu, a duchowny do księdza. Niemal ubliżającem dla gospodarza i dziedzica było, gdy kto, nawet zupełnie nieznajomy, pominąwszy dwór do gospody zaciągnął.

Po miastach i miasteczkach mnogie klasztory dawały chętną gościnę. Karczma też przeważnie służyła dla chłopa tylko, dla łyków, dla włóczęgów, dla gawiedzi tej, która do szlacheckiego świata nie należała.

Wyjątkowo jednak, w głębi lasów, w bezludnych stronach, gdzie od wsi do wsi zbyt długo bez spoczynku jechać było potrzeba, przemyślny izraelita urządzał przystań dla podróżnych... Główną jej część stanowiła szopa ogromna, przytułek w czasie słoty, a druga, izba niemniej obszerna, gdzie się wszyscy, jak Bóg dał, mieścić musieli...

Wielkie dwory obejmowały nadciągając wszystko pod władzę swoją: mniejszy ludek godził się u jednego stoła i pod jednym dachem. A że każdy, mniej więcej, wiózł z sobą wszystko, czego mógł potrzebować, i nie spodziewał się dostać po drodze, gospoda taka nie zaopa-

hetman. — Podczaszy najgorszym jest, ale odwagi nie ma. Burczeć będzie i podszczuwać drugich, sam nic nie pocznie.

— Na to ma Samuela—odezwał się Mroczek,

— Ten na Niżu z kozaki—dodał hetman.

— Jako żywo, powrócił — śmiejąc się, począł rotmistrz. — Cuda tedy powiadają, jako tam dokazywał, jak hetmanił, jak buławę dzierżał, z kozaki, wołoszą, tatarami, turkami, Moskwą się potykał i zbywszy mienie, a mało i nie życie, goły powrócił.

Zamojski słuchał roztargniony.

— Gdzież jest?

— Pewnie w której z majętności swych odpoczywa, bo z banicyi oni sobie nic nie czynią, powiadając, że dawno została zabytą... a gdy on w wojsku króla nie powoływany wojował, więc i wszędzie swobodnie obracać się może.

Hetman nie rzekł nic, a Mroczek poczekawszy mało i głos zniżywszy, dodał.

— Dałby Bóg, aby to próżne były przechwałki, a no wieści chodzą, iż albo królowi truciznę, albo miłości waszej napaść i śmierć gotują, bo sierdzą się okrutnie.

— Strzedzbyś się winien, Mroczek, lada babskich plotek nie powtarzać. Nie od dziś dnia oni o tej trutce gadają, ale się na to ważyć nie mogą.

— Takby się zdało — westchnął rotmistrz — gdybyśmy i ludzi i okoliczności nie wiedzieli, w których o *venenum* starali się i o zadanie go królowi.

Kanclerz w szerokie dłonie uderzył.

— Boże wieczny!—zawołał—czego ci ludzie chcą od króla! Lepszego nigdy nie mieli i mieć nie będą, ale to nieszczęście, że mu przypadło one stajnie Augiaszowe czyścić, a nie ma zjadliwszej rzeczy jako brud.

Raz go przecie z tej rzeczypospolitej wymieść potrzeba lub ona zginie... Czas był na to. Cugli warchołom nie nałożywszy, roznieśliby wszystko marnie.

Zamilkł nieco, a Mroczek poczekawszy czy hetman sam nie pocznie, dodał:

— Teraz to ono szczęśliwe wesele miłości waszej, na nowo poburzyło zazdrosnych i niechętnych. Na baczności się mieć potrzeba. Ludu się zbierze tłum wielki, nieznajomych, cudzoziemców, dopilnować będzie trudno, a czasu takiego obchodu dozór trudny. Właśnie się i dla króla JM. i dla miłości waszej tej chwili obawiam najwięcej...

— Podwoicie czujność waszą, kochany Mroczku— odparł hetman dosyć obojętnie—a będzie-li potrzeba zuchwałym naukę dać, nieomieszkamy. Jednakżebym nie rad na wiarę pustych pogłosek ludzi się imać, którzy językiem mielą dużo, ale czynić nic ani mogą, ani się będą ważyć.

— I jabym tak trzymał — rzekł Mroczek markotnie, boć gnieźnieński nie pocznie nic.

— Ten jest nasz!—wtrącił hetman.

— Pan marszałek co myśli, Bóg wie, ale pozornie praw względem króla i miłości waszej chce się okazywać, a pan podczaszy Krzysztof, z nich wszystkich najgorszy, drugich poduszczać gotów, sam szyi ważyć nie będzie... Więc nicby nie groziło, gdyby Samuel nie powrócił...

— Temu — uśmiechnął się wzgardliwie pan hetman — inne sprawy w głowie. Za podwikami biegać, z dobrymi towarzyszami pić, żarty i intermedya wyprawiać lada z kim, zabawiać się i szaleć, bohatera mężnego grać, aby mu przyklaskiwano... to jego rzecz. Stare dziecko jest.

— A no właśnie za narzędzie w ręku podczaszego niebezpieczne—rzekł Mroczek — bo mu Krzysztof wmówi co zechce, popchnie, a gdy niebezpieczeństwo ukaże i wyzwie, napewno p. Samuel tam poleci, aby się nieustraszonym okazał.

— Więc gdyby nam bruździł — przerwał hetman, którego Zborowscy widocznie już nudzili — mamy na

niego banicyą zawsze, na łasce jest... a w ręce się nasze dostawszy...

Zamojski nie dokończył i smutnie głowę opuścił.

— Nie o mnie samego idzie — dodał z powagą.— Ja się przy pomocy bożej nie lękam ich pogróżek i zasadzek, ale takim ludziom jak Samuel, którzy nic nie szanują, dla których prawa nie ma i hamulca... trzeba okazać, że się nie folguje złemu i bezkarnie szaleć nie dopuści... Będzieli-potrzebny przykład, choćby krwawy! ha!

I hetman zamilkł, obejrzał się, a natychmiast potem Mroczka o inne sprawy, wojska się tyczące, badać zaczął.

Mroczek pomiędzy sługami hetmana, nie wielkie i nie wybitne miejsce zajmował. Napozór był tylko rotmistrzem nowej piechoty, więc żołnierzem, ale oprócz tego służył bystremi oczyma iprzebiegłością, a nie mniej wypróbowaną odwagą. Mało ludzi się w nim domyślało tej bystrości i ochoty postrzegania, więc przed nim nie ukrywano się, i Mroczek widzieć a nasłuchać się mógł wiele, o czem hetmanowi natychmiast donosił. Byli inni na tych posługach, bo się bez nich obejść nie było można, gdy spiskować, zmawiać się i zasadzać na króla i hetmana poczęto.

Ukaranie Ościka trochę pohamowało zuchwałych, ale też rozjątrzyło. Zbrodnia była jawna, połapane pisma o niej świadczyły — kara też domierzona słuszną ale okrutną się wydawała. Mówiła ona, że nikogo nie oszczędzą.

Tej żelaznej ręki króla i Zamojskiego obawiano się, i pozbyć chciano, bo do bczsilnej wszyscy byli nawykli. Spodziewali się Zborowscy pomocników znaleźć w licznych malkontentach, których ostrość rządów Batorego zniechęcała i przeciw tak zwanemu despotyzmowi jego oburzała. Musiano mieć oko na pokątne roboty, które niebezpieczniejszemi były, niż publiczne występowanie szlachty na sejmach, które wiele wrzawy, ale żadnego nie wywierały skutku.

Zdawszy panu swemu sprawę z tego co widział i słyszał Mroczek, powrócił z zamku na miasto.

Nie spowiadał się on przed Zamojskim z tego, czego nie spełna był pewnym, choć go wieści różne dochodziły. Zewsząd bowiem zdawało się to potwierdzać, iż dla króla truciznę, a na kanclerza napad zbrojny gotowano. I to nie było tajnem, że Zborowscy najczynniejsi byli, a Krzysztof niespokojnie się krzątał w tej nadziei, że śmierć króla nową elekcyę sprowadzi, która rakuszanina na tron wyniesie, a z nim i Zborowskich na widownię wydźwignie.

Czuwał jako mógł Mroczek, wywiadując się, a choć nie o wszystkiem hetmana uwiadamiał—wszędzie zaglądał, aby sprawdzić co go dochodziło..

Tak tedy i owo szeptanie o truciźnie dla króla, którą Zborowscy gotować mieli, nie uszło baczności Mroczka, acz mu się ona bardzo nie pewną wydawała. Więc śledząc, zkądby ją mogli wziąć, Mroczek doszedł po cienkiej nitce do kłębka, bo mu zcicha i ostrożnie ukazano aptekę na rogu Grodzkiej ulicy, do zamku idąc, o której powiadano, iż tam wszystkiego, nawet i trucizny dobrze płacąc, dostać było można.

Inaczej tego sprawdzić nie mogąc, rotmistrz musiał sposobnych do tego użyć ludzi i właśnie z zamku powróciwszy, na niejakiego Jana Dzierżka czekał, który mu w tem miał być pomocą. Mroczek sam nadto znanym był, ażeby na siebie oczy ściągał, posłużyć się więc kimś musiał.

Dzierżek do tej szlachty należał zubożałej, która w posłudze panów kawałka chleba szukać musiała. Rycersko naprzód sługiwał, ale pod Połockiem rażony okulał, tak, że o kiju chodzić musiał i na koń mu już siąść było ciężko, musiał więc indziej sobie chleba szukać.

Znał go z wyprawy Mroczek i dla wielkiej usłużności lubił, a z tego, iż języka na dziadowski bicz nie rozpuszczał i umiał go za zębami trzymać.

Z zamku do gospody swej na miasto powróciwszy, na Grodzką ulicę, już przed bramą na ławie siedzącego zastał Dzierżka, który choć z pomocą kija, rzeźko się porwał, ukłonem witając rotmistrza. Mały, pulchny, okrągły, rumiany, śmiejącej się twarzy, Dzierżek pokorny był i wielce posłuszny. Swoim rozumem tam tylko się posługiwał, gdzie mu cudzego nie starczyło, idąc zawsze za rozkazami i wskazówką.

Miał więc z niego dobrego pomocnika Mroczek, a zaufać mu mógł, bo milczeć umiał.

Razem z nim weszli do izby, którą rotmistrz w gospodzie u mieszczanina zajmował, skromnie się trzymając, bo więcej nie miał nad jedną nie wielką komnatkę, w której i kosztowniejsze rzędy i rynsztunek swój trzymał.

— Wracasz w. miłość od p. hetmana, Boże mu daj wszystko dobre!—odezwał się śmiejącej twarzy okulawiały szlachcic. — Mieć więc będziemy weselisko, które pewnie królewskim dorówna, jakich my za naszego życia nie widywali. Sposobią się do niego wszyscy, jakby najokazalej wystąpić.

— Wszyscy!—odparł Mroczek siadając i pot ocierając z czoła—a no nie wrogi nasze!

— Wrogi!—zawołał Dzierżek.—Toć ich chyba ze świecą szukać!...

— Ja ich i po dniu widzę, a nawet bez świecy o zmroku—westchnął rotmistrz—choć kryją się.

— Jeśli się kryją, toby ich odkryć należało — dodał Dzierżek, spoglądając ku Mroczkowi, jakby się ku temu ofiarował.

— Pomożecie?—wtrącił rotmistrz.

— Miły Jezu! — wesoło a pośpiesznie zawołał Dzierżek.—Dopierobym szczęśliwym był, gdybym mógł!

Powstał nieco Mroczek, chwila upłynęła, nim głos zniżywszy mówić począł.

— Gadanie jest i nie próżne — rzekł—że Zborowscy na króla truciznę gotują... Nie chciałoby się wierzyć, gdyby ze złymi ludźmi i najgorsza rzecz nie była prawdopodobną.

Dzierżek milczący ręce załamał.

— Niechże Bóg strzeże!—zawołał.

— A wiesz waćpan przysłowie, że Pan Bóg strzeże strzeżonego, więc myśmy króla strzedz powinni.

— Choćby życie dać!—Gorąco podchwycił Dzierżek.—Gdyby tylko możność...

— Wszystko to dotąd — ciągnął dalej Mroczek— gadaniny są, ale je należy zbadać, czy w nich jakie ziarnko prawdy nie siedzi. Że zadaćby chcieli, temu ja wierzę, a że lada babskiego ziela ku temu nie użyją, to pewna, i że u nas indziej jak w aptece tego nie dostać, to ja rozumiem.

Z aptek zaś, które tu w Krakowie znam, jedna mi się tylko zdaje taką, że w niej za pieniądze wszystko dadzą.

Mroczek przestał mówić, a Dzierżek zmarszczywszy czoło, rękę wyciągnął i ku rogowi ulicy Grodzkiej wskazał.

— Myślicie u Fontanusa?—szepnął głową potwierdzając.

— A juści—rzekł Mroczek—ale co o nim mówią, potwarzą być może. Wypróbowaćby go potrzeba, nim na niego baczność zwrócimy.

Tu Dzierżek poważniej nastroił twarz, rzecz się stawiła tak, iż mogła daleko prowadzić. Czekał co przyjdzie. Mroczek też ociągał się z mówieniem, bo i jemu sprawa wydawała się nie łatwą, aby niewinnego człowieka nie narazić i siebie.

Nużby ów sprzedajny Fontanus zdradził i ukazał, że u niego żądano trucizny?

Ów Fontanus, człek obcy był, pono niemiec, ale zdawna w Krakowie osiadły. Mówił złamanym językiem, ale już w ziemię tę wrosnął i za tubylca się uważał. Niegdy go ludzie starsi pamiętali, iż z małym węzełkiem do

Krakowa przybył, maściami jakiemiś i kroplami handlując, a sławiąc swą znajomość wielką ziół lekarskich.

Oficyny naówczas nie miał z czego założyć, ani na nią przywileju potrzebnego otrzymać nie mógł. Tymczasem, gdy po ulicach chodząc swe medykamenty cudowne sprzedawał, udało mu się chorego kanonika kapituły krakowskiej, od doktorów opuszczonego, jakimś napojem do zdrowia przywrócić. Ten go biskupowi krakowskiemu zalecił, a z łaski jego przyrzeczono Fontanusowi przywilej na ową oficynę sanitatis.

Przeciągnęło się to, bo wędrowny farmaceuta pieniędzy nie miał poirzebnych dla zaopatrzenia apteki i dopiero wspólnika znalazłszy, bogatego mieszczanina, na rogu Grodzkiej ulicy najął kilka izb przybłęda ów, i w nich swe alembiki i słoje rozstawiać począł. Zrazu się to bardzo mizernie okazywało, ale chudy ów, z długą szyją, z przeciągłą twarzą, z ruchami jakiemiś konwulsyjnemi i jakby mimowolnemi niemiec, miał szczęście.

Mieszczanin wspólnik zmarł mu, przyczem się okało, że Fontanus mu już nic winien nie był, choć familia inaczej dowodziła.

Zaraz po śmierci jego oficyna Fontanusa inny pozór przybrała. Wywieszono znak, a w pierwszej izbie pokaźno się urządziła apteka, z mnóstwem słojów, flasz, szklenic, na których piękne napisy stały po łacinie: Syrupus, Decoctum, Bolus, Electuarium, Confectio i t. p.

Nie była pod owe czasy apteka tem, czem dzisiaj, pod rozkazami tylko doktora rozdającym lekarstwa, składem medykamentów.

Miał każdy aptekarz swe sekreta, a był potroszę sam lekarzem i wiadomem było powszechnie, iż w dziesięćkroć tyle zarabiał, co najlepszy z doktorów.

Ingredyencye bowiem, jakich naówczas zażywano do leków, nie były tak proste, jak dzisiaj. Osobliwych potrzebowano, które zdaleka sprowadzać i wielkim kosztem nabywać musiano. Rogi zwierząt, tłuszcz innych,

kości i t. p., nieodzownie się znajdować musiały, a niedźwiedzia tłustość wcale naówczas miała inaczej skutkować niż zajęcza. Potrzebowano i rogów jednorożca i kamieni, które zdala przychodzić musiały, i zmielonych na proch kosztownych utworów i ziemi, która tylko w pewnych krajach się znajdowala.

Natura wówczas pierwszym aptekarzem była i wyrabiała gotowe lekarstwa, których ludzie wedle tradycyi używali.

W to wszystko zasposobić się nie było łatwo! A i oczy też ludzkie w takiej aptece olśnić było potrzeba, aby się wydawała skarbnicą. Zwykle więc, oprócz naczyń z gotowemi lekarstwy, wypchane ptaki, rogi różne, skóry, stworzenia osobliwe przyozdabiały taką oficynę. A im ona pokaźniejszą była, tem ją doskonalszą mniemano.

Schodzili się tu i doktorowie podczas i pacyenci, którym aptekarz z własnych sekretów drogie leki sprzedawał. Cena ich całkiem od fantazyi ich zależała, że zaś drogie się zawsze lepszem wydaje, w dwojakim interesie swym, aptekarze cenę podnosili.

Któżby miał wiarę w lekarstwo tanie i proste?

Fontanus już naówczas przyszedł do tego, że jego oficynie na niczem wykwintniejszem nie zbywało. Ze wszystkich części świata miał zioła, kamienie, driakwie i balsamy. Prawda, że one na wagę złota sprzedawał, ale też skutkowały, jak żadne, bo do nich przywiązywana wiara siłę im nadawała.

Słynął Fontanus i zazdrość obudzał. Chociaż mu się tak szczęściło, iż oprócz apteki, do której sobie kamienicę, wpierw najmowaną kupił, posiadał dwie inne, a grunta i place za miastem—żył bardzo skromnie i nie ożenił się nawet. Chudy, zawiędły, z policzkami zapadłemi, z włosami jasnemi, które płasko i posłusznie na wyłysiałej czaszce mu się układały, w stroju czarnym, poważnym w ogromnych okularach, których nigdy nie zrzucał,

kręcił się pilno, z jednym wyrostkiem do pomocy i stróżem sobie radę dając, choć roboty miał dużo.

We dnie ani na chwilę się nie mógł oddalić z apteki, bo miał nieustannie gości, nocami powiadano, że na alembikach i różnych przyrządach, ekstrakty wyciągał, których sam dozierał.

A nie było rzeczy, którejby u niego dostać nie można, bo i kosmetyki i przysmaki przyprawiał, bielidło i róż.

Mówiono nawet, że i takie rzeczy sprzedawał, za które baby pod pręgierzem stawiano, że czarnoksięzką sztukę znał i trucizny przyprawiał. Nigdy jednak nic ztąd na jaw nie wyszło.

Oprócz tych, którym apteka jego solą w oku była, bo ci go szalbierzem nazywali i dowodzili, że często zafarbowaną wodę za kosztowny lek sprzedawał, nie miał Fontanus nieprzyjaciół. Ostentacyjnie ubogich nie tylko leczył, ale karmił, pauprom garnuszki ich bez szemrania napełniał, a doktorów wszystkich chwalił i mędrcami nazywał.

Oficyna też na rogu Grodzkiej ulicy, choćby w niej chorych i kupujących brakło, zawsze prawie gości miewała. Schodzili się tu doktorowie i znajomi mieszczanie na gawędę i na pokrzepienie, bo Fontanus wzmacniające napoje, bardzo przedziwne, jak nikt robić umiał.

Dzierżek gdy z niezgojoną jeszcze całkiem nogą z pod Połocka się dostał do Krakowa, z porady przyjaciół u Fontanusa szukał gojących środków, dostał je u niego, i zdawało mu się, że jemu zawdzięczał zupełne uzdrowienie, choć kulawym pozostał.

Znał więc pan Jan onego Fontanusa i z tem się zaraz pochwalił.

— Jam o tem wiedział, że go znasz — rzekł Mroczek—i na tym fundamencie chciałem, abyś poprobował człowieka a wybadał go, azali za wielkie bodaj pieniądze truciznę sprzedaje, bo tak o nim twierdzą ludzie.

Dzierżek się poskrobał po głowie.

— Prawdę rzekłszy—odezwał się — choćby człowiek złej myśli nie miał, w czyichbądź oczach, choćby na krótki czas za truciciela uchodzić, nie miła rzecz, ale...

— Gdy tym tylko sposobem życie komu ocalić można?—podchwycił Mroczek.

— Ja też się nie wymawiam od posługi — rzekł Dzierżek — ino proszę, gdyby mnie Fontanus wskazał, a na męki brać chciano, pamiętajcie, abyście sługę waszego bronili.

— O to się nie obawiajcie—podchwycił rotmistrz żywo.—Służycie nie mnie, ale królowi i kanclerzowi, a ci swe sługi opuszczać niezwykli.

Zadumał się Dzierżek.

— Ba!—rzekł po chwili—Fontanus kuty jest, trudna z nim rada, niełacno z niego dobyć słowa, ale próbować będę.

Na tem się narada skończyła i Dzierżek wkrótce potem wyszedł, a tegoż wieczora do apteki podążył. Godzina mu się ta najlepszą zdawała, bo się mało kogo spotkać tu spodziewał, choć dwu jeszcze lekarzy siedziało i o formułach przeciwko *Pituitam* rozprawiało.

Tych, po przywitaniu, w kącie zasiadłszy ciarpliwie słuchał kulawy rycerz, aż nareszcie wyszli i sam na sam pozostał z Fontanusem, który z poza okularów dawno go badał, wiedząc pewnie, że nie bez interesu przychodził.

Dzierżkowi wykrztusić truciznę, którą na języku miał, niezmiernie było trudno. Twarz mu się rumieńcem zalewała, gdy o niej pomyślał. Fontanus rozmownym nie był, i tylko krzątając się, słoje i flaszki porządkując i ustawiając, skąpemi odpowiadał słowy.

Począł Dzierżek od tego, iż się zaczął unosić nad tem bogactwem, jakie w oficynie widział, i jak tu wszystkiego, coby człowiek zamyślał, pewnie dostać było można. Z tej okazyi licząc różne potrzeby, na truciznie utknął.

Trzeba było Fontausa widzieć, który słój trzymając w ręku, właśnie stał naprzeciw mówiącego, jak nań spojrzał.

Dzierżkowi zdało się, że mu wnętrzności wyjmuje tym wzrokiem.

Nastąpiło milczenie.

— Trucizny! — szepnął Fontanus z dziwnem ust wykrzywieniem.—Tej właśnie w aptece nie znaleźć, ale wszelkie lekarstwo źle użyte stać się nią może. Dlatego profanom niemi rozporządzać się nie godzi.

— Ale są przecież trucizny?—zapytał Dzierżek— i ludzie ich nie raz na złe używają?

Fontanus się nieco zamyślił nad odpowiedzią.

— Pewnie że są—rzekł—ale są i antidota przeciw nim.

— A od was też nikt nigdy jednego lub drugiego nie żądał?—zapytał Dzierżek.

Długa, wychudzona twarz Fontanusa skrzywiła się uśmiechem, ramionami poruszył.

— Ciekawi jesteście — odparł zimno. — Sądzicież żebym ja truciznę komu wydawał?

Dzierżek się zawahał, uczuł się niezręcznym, i że za daleko zaszedł, ale cofnąć było trudno, a dalej iść też nie łatwo.

— Co ja wiem?—odparł.—Słyszałem tylko od tych, co we Włoszech bywali, że tam trucizny osobliwe najlepiej przyprawiać umieją i one sprzedają, bo sobie rozumują: Cóż do mnie należy? Jać nie zadaję? winien kto jej używa... A że więcej niż na wagę złota się sprzedają takie ingredyencye...

— Na wagę złota—odparł Fontanus—a toćby się nie opłaciło je wyciągać, bo lekkie są.

To mówiąc, gdy się rozmowa przeciągała, Fontanus na zegar wiszący spojrzał i rzekł, że na półzegarzu godzina późna była.

Musiał więc Dzierżek wstać, nic nie dowiedziawszy się, ale to miał w zysku, iż sprawę swą zagaił.

Gdy drugi raz w kilka dni potem Dzierżek do apteki przyszedł, musiał zmyśleć, że na żołądek cierpiał i wywaru jakiegoś z ziół gorzkich się napić, aby swe odwiedziny usprawiedliwić. Lekarstwo zaś, że zaszkodzić nie mogło, o tem był wedle teoryi własnej, najmocniej przekonany.

Czas sobie wybrał znowu tak, aby nie zastał nikogo i mógł się rozmówić swobodnie, ale spostrzegł zaraz, że Fontanus na niego baczne miał oko i już czegoś się domyślał. Trudno mu więc przyszło bardzo nawiązać rozmowę, ale aptekarz sam, jakby dawał do zrozumienia, że nie w ciemię jest bity, *occasione* poprzedniej rozmowy o truciznach mówić zaczął.

Dzierżek jakby na uczynku schwytany, zmięszał się znacznie.

Fontanus tym razem, szczerze czy podstępnie otworzystszym był i rozpocząwszy o truciznie teoryę swą wypowiedział, nie kryjąc się z nią.

— Człowiek kupcem jest—rzekł do niego. — Gdy w sukiennicach noże i brzytwy sprzedają, nie pytają kupujących co czynić z niemi będą i czy komu nie poderżną gardła. Tak samo z trucizną, o której wiedzieć trudno, czy nią psa, czy człowieka zgładzić kto ma...

Poruszył ramionami.

— Ale się to mało kiedy trafiać musi, aby od was żądano jej?—zapytał Dzierżek.

Fontanus wpatrzył się w niego bacznie, pomilczał trochę, podumał, a potem rzekł:

— Mówno mi jasno, czego ty chcesz... bo drugi dzień objeżdżasz mnie, jak zwierzę w kniei, nie śmiejąc rzec, o co ci chodzi? Chcesz ty trucizny? Tyś nie do niej człowiek.

I rozśmiał się.

— Ja! uchowaj Boże — odparł Dzierżek—nie po-

trzebuję jej, alem ciekawy, gdyby potrzeba była, czybym jej mógł dostać...

— Za pieniądze!—odparł cicho Fontanus.—Starzy już jesteście dosyć, aby wiedzieć, że za pieniądz wszystkiego dostanie, i tego co żywi i co morzy. Trucizna jedna drugiej nie równa, masz to znać, bo są takie, co powoli człowieka rok i więcej męcząc do grobu prowadzą, i inne, co jak piorun ubijają.

Za nieboszczyka króla Zygmunta, nim ztąd królowa Bona precz do Baru odjechała, nikt od trucizny bezpiecznym nie był, teraz nikt o tem nie myśli.

Dzierżek słuchał z uwagą.

— Więc—skonkludował—gdyby potrzeba było...

Fontanus z za stołu, za którym stał, począł wychodzić i nie patrząc na Dzierżka, piosenkę jakąś nucił pod nosem, której wyrazy luźne zdawały się oznaczać, że u niego w kramie wszystkiego dostanie. Nie odpowiedział więcej nic.

Z tem też Dzierżek powrócił do rotmistrza i doniósł mu, że aptekarz się nawet nie bardzo z tem taił, iż truciznami frymarczył.

— Dobrze i to wiedzieć!—mruknął Mroczek.

VIII.

Na Franciszkańskiej ulicy w domu Zborowskich, choć całe miasto żywiej się niż kiedy poruszało, tej wiosny tak było pusto i cicho jak nigdy.

Kasztelan gnieźnieński choć tu zajeżdżać prawo miał, nigdy gospodą nie stawał, bo z braćmi, choć się kochali, nie jedno myślał, a ani on ich, ani oni jego nawracać nie kusili się nadaremnie.

Andrzej tylko i Krzysztof, rzadki gość domostwo zajmowali pod czas, gdy w Krakowie bywali, a niekiedy siostrzany ich lub siostrzenice, bo familia liczna była i rozrodzona, więc Stadniccy, Włodkowie, Ossolińscy i Chodkiewicze.

Już w pierwszych dniach maja, choć wesele hetmana dopiero miało w czerwcu nastąpić, poruszało się w Krakowie i gotowało wszystko na festyny niebywałe, jakich miasto dawno, dawno, bo od pierwszego małżeństwa Zygmunta Augusta nie widziało.

Choćby był Zamojski się na królewski przepych dla synowicy króla, którą miał poślubić, nie zmagał może, ale i król chciał okazałości dla pani młodej i dla węgrów swych, i szlachta a urzędnicy polscy pragnęli pokazać obcym, że u nich i było z czego i było z czem wystąpić.

Wielu z panów, z Niemiec i z Włoch nie wahali się sprowadzić kuchmistrzów kosztem wielkim, aby tak wystąpić, iżby się ludzie dziwić musieli. Zawczasu już mirabilia oznajmywano.. ale im z jednej strony świetniej się zapowiadały gody, tem z drugiej nieprzyjaciele króla i hetmana okrutniejszą zazdrością i gniewem pałali, szczególniej przeciwko Zamojskiemu, iż się śmiał do majestatu przybliżać i kumać z nim, przez co wyrastał po nad bracią, a jak tytuły nienawistne były równości szlacheckiej, tak i wszelkie wywyższenie i odznaczenie, krom senatorskiego dostojeństwa, burze wzniecało.

Nie był Zamojski przeciwko temu, ażeby zazdrości i złości zamknąć usta i niechęci złagodzić; jego przyjaciele zbliżali się do niechętnych i obiecywali im łaski królewskie dla przejednania — ale im więcej starano się

godzić i głaskać, tem właśnie sierdzili się mocniej niechętni.

Pomiędzy nimi rej wodzili Zborowscy, powszechnie to wiadomem było, krom Jana, który trochę na uboczu się trzymając, ani około króla nie zabiegał zbytnio, ani się do braci garnął. Rachował jednak na niego hetman i król, acz z pewnem niedowierzaniem spoglądając.

Dom panów Zborowskich na ulicy Franciszkańskiej, który już znamy, sam jeden może w mieście stał, jakby w nim nikogo nie było. Ale to czyniono umyślnie. Wiedzieli Zborowscy, że na ich każdy krok oczy są zwrócone, że im wiary nie dają, nie myśleli więc się nastręczać, a nie chcieli oczów ściągać na siebie. Ale myliłby się, kto z tej niemej powierzchowności i pozamykanych od ulicy okiennic wnosząc, sądziłby, że w domostwie nie ma nikogo.

Tak tu się żywo obracano, jak i gdzieindziej, tylko nie chciano, aby o tem świat wiedział.

Nie było dnia, aby jakiś poseł ze Zborowa lub z innych rezydencyj panów braci nie zajechał, języka nie dostał lub rozkazu nie przyniósł, ale się to w ciszy i kącie odbywało.

Podczaszy czynniejszym był niż kiedykolwiek, a o Samuelu po powrocie z Niżu różnie rozpowiadano. Nigdy on spokojnie usiedzieć nie mógł. Tu mu jednak do Krakowa jechać i pokazywać się powszechnie odradzano, a i on sam się wahał. Nie jeden raz go już przestrzeżono, że hetman się odgrażał banicyę przypomnieć.

Z własnej historyi wiedzieli Zborowscy, że banitę ubić nawet bezkarnie było wolno, bo ojciec ich Marcin tak nieszczęśliwego męża Halszki z Ostroga, kniazia Sanguszkę, ścigał i zabił.

Krzysztof też, choć na sobie nie miał żadnego dekretu, od czasu gdy o nim wzmiankę w papierach ściętego Ościka znaleziono, nie czuł się całkiem bezpiecznym i nie rad ukazywał.

Jeden tylko Andrzej nie lękał się, bo na sobie jawnego nic nie miał, choć w sobie tak był jak bracia dla króla i Zamojskiego usposobiony.

Od powrotu z Niżu Samuela, marszałek i podczaszy nie widzieli się z sobą; pierwszy z nich w początkach maja do Krakowa przybył, ale się prawie nie ukazywał. Wieczorami tylko do swoich przyjaciół chadzał i z ludźmi się widywał. W mieście o nim tak jak nie wiedziano.

Chciało się panu Andrzejowi, choćby wcale nie występował na weselu, widzieć je i ze zjazdu korzystać, aby z wielu sie widzieć i rozmówić, ale wahał się jeszcze.

O Krzysztofie nic słychać nie było, bo ten za sobą drogę i tropy starannie zacierał.

Zdziwił się więc pan Andrzej, gdy jednego wieczora od Zbaraźskich, żony swej krewnych, powróciwszy, w domu przy Franciszkańskiej ulicy, zamiast ścian niemych, brata Krzychnika zastał.

Chociaż między rodzeństwem miłości szczególnej nie było, jednakże wszyscy oni mieli rodzaj przywiązania do siebie, i radzi się zawsze widywali. Krzychnik nawet z gorącością wielką pana marszałka uścisnął.

— Gdzieżeś ty bywał i co się z tobą działo? — zawołał Andrzej—znikasz wszystkim z oczów i kryjesz się nadto z sobą, dlatego cię też może posądzają o knowania.

Podczaszy się rozśmiał, powtarzając.

— Posądzają! Mają słuszność, bo ja knowam, a to mnie tylko boli, że dotąd napróżno... Na Samuelam rachował, iż go teraz ujmę w ręce i nim pokieruję, ale jeszcze się nie wyburzył!

— Widziałeś go?—spytał marszałek.

— Nie raz i nie dwa—rzekł Krzychnik — umyślniem do niego jechał, z nim wędrował, bo on na miejscu nie utrwa. Myślałem, że go sobie pozyskam... ale mi się ladaco z rąk wymyka...

Siedli sam na sam bracia, i tu już tajemnic dla siebie nie mieli.

— Wiem, że teraz z okazyi wesela — rzekł Krzysztof — cośbym dla siebie wytargował, zaprzedawszy się im duszą i ciałem, ale nie chcę...

I dodał nagle.

— Truciznę królowi zadać, gdyby było można, nie od rzeczyby było... Włosi powiadają, że ze zwierzem jego jad ginie, ale nam łatwiej się uporać z kanclerzem, i na tegośmy z Samuelem dekret wydali.

— Co? czasu wesela?—zapytał Andrzej.

— Ba! gdyby i tak nawet zręczność się nadarzyła, my się nie zawahamy.

— Wy?—podchwycił marszałek.

— To jest... ja radą i głową, a Samuel ręką—odpowiedział Krzychnik.—Nie sądzę jednak, aby czasu wesela się nam to powieść mogło, hetman jest otoczony, strzeżony, ludzi swoich i obcych za gęsto, ale dziś, czy jutro go to nie minie... Właśnie mu się damy ubezpieczyć cicho siedząc, a Samuel znaku życia nie dając, aby go tem pewniej w danej godzinie wziąć.

Wtem Krzychnik ręce załamał.

— Ale z Samuelem—dodał — im bliżej się go zna i więcej żyje, tem jawniejsza, że to człek nieokiełznany, i że nigdy dziś nie można powiedzieć, co jutro pocznie.

Kocha i nienawidzi pod humor.., i zabija też gdy się najmniej tego spodziewać. Na utemperowanie się tego człowieka nic już liczyć nie można.

Sądziłem, że od kozaków powróci, wiele biedy zażywszy, rozumniejszym! Gdzie zaś! Zuchwalszym się stał jeszcze.

Sądziłem, że po zabójstwie Trepki, po zabójstwie Kalinowskiego, którego żona dotąd przeciwko niemu instyguje, po onej głośnej awanturze z Dominikany, za którą go wyklinano, naostatek po onym Candianie, który go

w druku osmarował, poskromi się, gdzie tam! Im głośniejsze jego sprawy, tem on temu więcej rad...

Andrzej przerwał.

— Mówisz o tych sprawach pana Samuelowych, o których i ja słyszałem, alem ja tak prawie jak nieświadom ich, a wielu nie wierzę. Nie sąż to potwarze?

— Ho! ho! — zawołał Krzychnik — potwarze! powiem ci jedno, że to co na Samuela rozgłaszają, jeszcze nie dochodzi daleko do tego, co dokazał, chodząc po świecie. Człowiek bowiem jest osobliwy, równie gdy kocha, jak gdy nienawidzi; u niego wszystko z ekscesem. Małego nic nie rozumie.

Jakże być może, abyś ty o tych sprawach Samuelowych nie wiedział?—dodał podczaszy.

— Juści wiem—rzekł marszałek — ale z odgłosu. Przy niczem nie byłem, a on mi się nie spowiadał.

— To go nie znasz!—zawołał Krzychnik.—Jam go wiele praktykował! Jam na tych przygód siła oczyma własnemi patrzał, począwszy od żony.

Znałeś tę dobrą, łagodną i miłą panią, bo z tego domu wyszła co i twoja. Miłował ją Samuel do szaleństwa, ale trwało to do narodzin Aleksandra. Wtedy na dziecko dużo spłynęło tej miłości, a żona że chorzeć mu zaczęła, począł się za innemi oglądać.

— On bo bez podwiki nigdy żyć nie mógł — szepnął Andrzej.

— Otóż co się stało — ciągnął dalej podczaszy. — Nie jedną, ale może dziesiątek różnych na dworze chował, na co żona patrzeć musiała. A że ludzie to w panu widzieli, sami też go naśladować poczęli... więc co się tam u nich działo, o tem rozpowiadać trudno.

Pod ten to czas Dominikanów napytał, z którymi się potem tak obszedł jako wiesz... Już od tej pory żaden tam ksiądz w domu nie postał.

Biedna żona we łzach się rozpływała, z czego on

sobie żartował. Rzadko w domu siedział, a przyjechał, to z gromadą na pijaństwo i swawolę, że się zamykać musiała.

Jednego razu na Wołoszczyznę jadąc, nie wiem już gdzie jakiegoś turka i turczynkę napytał. Tak ich zwano, ale mnie się widzi, że wcale turkiem nie był ten człek, ale chyba grekiem. Niewiasta się żoną jego nazywała, a była dziwnie piękną. Widziałem ją, czarne miała oczy i włosy, a ciało jak mleko, ale kobieta była prosta i grubych obyczajów... Jak onego turka z żoną dostał, aby ich do siebie do domu przywieźć, to jemu wiedzieć...

Turek go ów wrzekomy darł ze skóry, a żona też, ale mu nie mówił nic za to, że sobie z nią żył. Sypał im garściami pieniądze, darowywał srebra, kupował klejnoty. Wreszcie turek mu żonę sprzedać się ofiarował i pono cena była umówiona, a Samuel miał ją wziąć i trzymać w drugim majątku ze dworem i okazałością, jakby żona jego była...

Wiedziała o tem prawa żona, ale ani pytać, ani mówić nie śmiała, byłby ją ubił... Mało też widywał.

Turczynka zaś, choć jej ona wcale nie zawadzała, koniecznie zgubić chciała, pewnie w nadziei, że się z nią ożeni. Poczęły się plotki na p. Samuelową.

Był pod ten czas na jego dworze chłopak, szlachcic, pokrewny nam z ubogich Stadnickich, którego Samuel swego czasu bardzo lubił, ale potem pogniewawszy się, patrzeć na niego nie chciał.

Ten przez litość nad Samuelową służył jej, a że sama z dziećmi była, pod czas z nią do stołu siadał. Na tego oczywiście turczynka się nasadziła, że kochankiem jest jejmości, co jako żywo fałszem było. Ktoś doniósł, że raz śniadając z jejmością, gdy ona masło znalazła starem i precz za okno wyrzuciła, Stadnicki też to samo uczynił,

Poszło tedy od tego masła...

Samuel z furyą do żony wpadł, wyrzucając jej, że mu się sprzeniewierzyła... Przerażona padła mu do nóg, na krzyżu Pańskim gotowa przysiądz, że między niemi wcale nic nie było...

A no, pijanym był i wściekłym, i żonę począwszy bić, gdy się na łóżko rzuciła, ledwie żywą odszedł. Od tej pory chorzała już, chorzała, aż zmarła..

Razem poprzysiągł, że Stadnickiego zgładzić musi, co młody Trepka słyszał.

Stało się, że wkrótce potem w istocie Stadnicki zniknął, o którym mówiono, że do rodziny powrócił, a drudzy palce na ustach kładąc, milczeli.

Trepka się gdzieś nieostrożnie wygadał, iż wie co się z nim stało.

Doniesiono o tem Samuelowi, nie dał bynajmniej poznać po sobie... W kilka dni potem na łowy się wybrał w lasy i Trepkę z sobą wziął, który więcej nie powrócił.

O tem też, co się z nim stało, nikt nie wiedział; mówiono, że go dzik rozdarł, a potem nocą wilcy poszarpali i zjedli, tak, że kości nawet po nim nie zostało.

Andrzej słuchając usta wykrzywił.

— Krwawe dzieje—rzekł—ale ja im spełna wiary nie daję. Wy to wiecie najlepiej, że będzie li kto gwałtownikiem, złożą nań w dziesięcioro tyle, niż uczynił.

Krzychnik nic nie rzekł.

— Wszystko to nic — dodał pomilczawszy — ale gdy żona zmarła, dopiero dla niej czułość się wzięła taka, jaka nigdy może za życia nie bywała. U trupa krzyżem leżał płacząc, pogrzeb sprawił królewski i zamknął się na czas jakiś, jakby melancholii dostał.

Dopiero go z niej Anusia, córeczka, która podobną jest do nieboszczki, a on kocha ją bardzo, pieszczotami swemi wyprowadziła.

Jeszcze dziś, gdy żonę wspomni, często mu w oczach

trywała się w wymyślne zapasy dla podróżnych. Najczęściej oprócz wody nic w niej dostać nie było można.

Taką przystanią w puszczach Sandomierskich, ku granicy Krakowskiego przypierających, była znana wszystkim przeciągającym tędy karczma stara, zwana Borówką.

Powierzchowność jej świadczyła, że mnogie już lata, osłonięta lasami, zabezpieczona od wichrów i burzy, przetrwała.

Ściany jej z dwu stron już podpierać musiano, dach się pogarbił i porósł zielono, pomiędzy zeschłem drzewem, pruchniejącem miejscami, szczeliny czarne przepuszczały wiatr i słoty...

Stała samiuteńka jedna, żadnej nawet szorki i kleci nie mając przy sobie, a wyglądała tak czarno, smutno, pusto, jak gdyby w niej już ludzi nie było...

Potworzone nowe drogi i gościńce wygodniejsze rzadko tu już podróżnych sprowadzały; jednakże rodzina izraelska, która od wieku zamieszkiwała w Borówce, trzymała się tego kąta, który dla niej stał się rodzinnym... Nie obawiała się ona ani napaści, ani gwałtu, bo niczem przynęcić nie mogła, będąc sama ubogą...

Jak wybladłe cienie przesuwały się, niby wpół uśpione tą ciszą i osamotnieniem postacie kilku żółtych i chudych niewiast, i wynędzniałych dzieci.

Z czego żyli, było ich tajemnicą, bo zarobek od podróżnych, który się mógł nazwać jałmużną, bardzo musiał być lichy. Dawano postójne niechętnie, a silniejsi i butniejsi od niego się uwalniali, tak, że wiadra czasem chować było potrzeba, aby grosz jaki zyskać.

Tego dnia jednak wczesnej wiosny, trafiła się niezwyczajna rzecz. Zrana przybył tabór podróżnych, a w kilka godzin po nim nadciągnął drugi i oba spoczywały.

Za czem nadciągnął trzeci, a pod wieczór i czwarty. Wszystko to były pańskie i dość gromadne orszaki,

które nie tylko się z sobą godziły, ale zdawały do jednej należeć rodziny. Może wypadkowe, czy obmyślane spotkanie się to, skłoniło podróżnych do przedłużenia niewygodnego pobytu w gospodzie, której arendarz schować się musiał ze strachu, tak mu tu ci przybysze własnowolnie a zuchwale się urządzali.

Gdy czwarty oddział nadciągnął już pod noc, gospoda, choć dosyć obszerna, pełniuteńką już była, bo każdy z nich kilkudziesięciu liczył ludzi i nie mało kotczych, wozów i kolebek.

Izbę wielką zajęli czterej panowie przybyli, dla których tu stół gotowano, ławy powyścielano, ogień rozpalono i naznoszono tyle sprzętu podróżnego, ile go stare domostwo nigdy razem nie widywało.

Panowie byli wszyscy zamożni snać, nawykli do wygód, butni okrutnie, a służba ich nawet tak zuchwała, że gospodarz się pokazywać nie ważył. Nie pytano go też o pozwolenie i rozrządzano się w szopie i po alkierzach żydowskich nawet, jak się podobało... Staremu żydowi ledwie szczupłą jedną pozostawiono komórkę.

Wiosna była młoda jeszcze bardzo, więc chłodna i wilgotna, bez ognia i dla strawy i dla ogrzania się obejść nie była podobna; rozpalono go też w piecach, na kominach, nakoniec w pośrodku szopy nawet, od którego się ona łatwo zająć mogła, lecz żyd nie śmiał pisnąć słowa... Drzewa suchego nie znalazłszy, gawiedź poradziła sobie, ścianę jedną wewnętrzną rozebrawszy w mgnieniu oka, którą na drwa porąbano.

Żydzi przez szpary spoglądając na to gospodarstwo, ręce łamali i lamentowali pocichu, stary może i przeklinał tych nieproszonych gości, lecz odezwać się nie śmiał. Z samego głosu i ruchów czeladzi poznał on ludzi, z któremi nie było podobna wdawać się w rozprawy, a prosić ich, mogło jeszcze podrażnić.

Modlił się tylko do Pana Boga, aby po noclegu tym, co rychlej go od załogi tej uwolnił. Nie wątpił, że tak

łzy się zakręcą. Taki on we wszystkiem jest... Sam na siebie powiada głośno, że żonę zabił.

Do innych zabójstw się nie przyznaje, a Trepki imienia nawet wspomnieć nie wolno.

Wojtaszka widziałeś i znasz?

— Byłci z nim w Borówce—rzekł Andrzej.

— Z tym chłopcem historya albo się smutno skończy, lub nie wiem jak, bo to żmija jest, którą on przeciw sobie żywi i pielęgnuje. Zkąd go wziął, co za jeden? nie dojdziesz. Czarnoksiężnik, powiadają, w co nie wierzę, ale głosem go czaruje.

Gdy czasem mu śpiewać zacznie, to się Samuel łzami zalewa, a pieniądze garściami mu sypie.

Chłopiec zaś jawnie i nie kryjąc się nienawidzi go, pogardza nim, odgraża się, a w domu tak się nosi, jakby rodzonem dzieckiem był. Aleksandrem pomiata, a Anusi dokucza, podły plebejusz, zalecając się do niej jawnie.

Skarżono go nieraz Samuelowi, bił go czasami, sadzał na chleb i wodę, a potem niemal o przebaczenie prosił. Rozumiejże go, jeśliś mądry.

Lutnistę tego dawno ze dworu przez psy wyszczuć należało, a on go głaszczcze i tak stoi o to, aby nie stracił, jakby największego strzegł skarbu.

Wojtaszek się z tem nie kryje nawet, iż nim gardzi. Ludzie mi mówili co słyszeli, jak obiecywał panu Samuelowi miecz katowski, dodając, że nań zasłużył.

— Nie spełna rozumu—przerwał Andrzej.—Sądź jako chcesz, na krew składając wiele, bo my wiemy jak się nam hamować trudno... nim rozum przestał kierować. Broniliśmy go po zabójstwie Wapowskiego, bronimy i teraz, bronić będziemy, a no on nam ciężarem więcej niż pomocą...

— Ja nie rozpaczam, że go przecież zaprzęgę i orać nim będę—odparł Krzychnik.—Jedyna się zręczność nastręcza zużytkowania go przeciw Zamojskiemu.

— Wapomniałeś o Candianie — odezwał się marszałek—co to z nim było? wiesz? Słyszę, iż książkę wydrukował, wyzywającą i czerniącą.

— Jam jej nie czytał, ale są tacy co mieli w ręku, bo ją bibliopole przywieźli i sprzedawali, a bodaj do dziś dnia potajemnie po trzy grosze w świat puszczają.

Sprawa z Włochem poczęła się, można powiedzieć z niczego. Przybywszy do Polski i tu bawiąc Candian, włościaninowi, sołtysowi z majętnosci Samuela pieniędzy pożyczył, a potem po nie sam przybył. Wytoczyło się to przed trybunał pański, i Kurek długu nie zaprzeczał, ale twierdził że zapłacić go czem nie miał.

Tymczasem Samuelowi dobrze się było z włochem zabawić, więc go do dworu wziął, do stołu sadzał, karmił, poił, i był mu jaknajlepszym. Ten go za to opowiadaniami bawił, a że Samuel rad w języku włoskim się popisywać, bardzo go miał miłym i chciał w domu zatrzymać. Tymczasem włoch się już wyrywał, mając handel czy zajęcie; ale z Saamuelem od wielkiej miłości do gniewu, włos tylko...

Włoch się rwał jechać, Samuel nie chciał puszczać... a już mu twarz krwią i oczy zachodziły, co u niego znakiem, że sobą nie włada.

— Naokoło mór straszny, ludzie jak muchy padają, gdzie ty pojedziesz? po co? Sicdź tu kiedy ci dobrze.

W pół dobrą wolą, w pół siłą, strzymał włocha, ale co on go zabawiał zrazu, to teraz Samuel drwiąc z niego gości swoich nim traktował. Wyśmiewano go nielitościwie, płatając nieznośne sztuki, aby włocha do wściekłości rozdrażnić.

Samuelowy sługa, niejaki Ruski, nasadzony był na Candiana... a wiedząc, że mu to ujdzie bezkarnie, dojadał włochowi szczególniej przy gościach. Gości zaś żadnego dnia nie brakło. Wreszcie Candian już chodził struty i gdyby nie rzeczy, które z sobą miał, pieszoby był gotów uciekać.

Jednego dnia, gdy Ruski w czasie obiadu włocha prześladował i słowem dotknął, uniósł się Candian i w twarz go uderzył.

Wszyscy byli naówczas dobrze sobie podpili, w izbie się stał rozruch wielki, poczęli się rwać do szabel, i byłoby przyszło do krwi rozlewu, gdyby obcy ludzie nie wdali się i na pozór ich nie pogodzili.

Od tej pory jednak Samuel puścić nie chcąc włocha, razem z Ruskim na wszelki sposób znęcał się nad nim.

Był naówczas u Samka stary niedźwiedź, który wolno po dziedzińcach się przechadzał, i miał budę swoją, a czasem za igraszkę i postrach służył. Przyszło do tego, że raz Candiana wziąć kazał, obnażyć, miodem osmarować i na niego niedźwiedzia puścić, wprzódy przez psy rozdrażnionego. Jakim sposobem włoszysko z tego wyszło podrapane ale z życiem, przydusiwszy starego niedźwiedzia, nie wiem. Natychmiast więc po traktamencie chciał precz jechać, ale mu z woza koła pozdejmowano, rzeczy zamknięto, potem jego samego do lochu wsadzono, z którego się nierychło wydobyć potrafił.

Candian go w tem piśmie wyzwał na rękę, na sąd Boży do walki, ale Samuel śmiał się i po dziś dzień się na tem skończyło.

Mało ci tego?

Andrzej podniósł oczy w górę.

— Jakże ty chcesz takim pokierować człowiekiem?—zapytał.

— Najłatwiej, gdy go tam poprowadzę, gdzie on sam rad iść — rzekł podczaszy. — Nienawidzi Zamojskiego...

— Tak—odparł marszałek—ale przebiegłości i pomiarkowania potrzeba, aby się z nim spotkać i to tak, aby kauclerz przeważnej siły przy sobie nie miał, a napaści się nie spodziewał. Samuel ani czasu, ani miejsca wybierać nie potrafi, rzuci się po szalonemu i zginie.

— A jam od czego?—zawołał Krzychnik — wszystko mu zgotować potrzeba i dać, tylko rąb... Naówczas żadna mu się siła nie oprze.

— Wolałbym wszelką inną imprezę — przerwał Andrzej – niż taką, do której nam Samko potrzebny. Najlepiej przygotowane popsuć potrafi.

Potrząsnął głową p. Krzysztof.

— Ledwiem go zaklęciem wielkiem od tego odwiódł, aby na wesele do Krakowa nie jechał, bom się go tu obawiał.

— Gotówby go był kanclerz ująć kazać, bo o nas dobrze wie, jak mu życzymy, a jego dobrze zna...

— Jam się nie tyle tego obawiał — dodał Krzysztof — jak jego szaleństwa. Wyrwałby się nam z rąk, gdyby mu się głowa zakręciła.

Wstał marszałek.

— Dobrze mówisz, Krzychnik, że nas zna... Wiem to od Jana, iż przemawiał za nami prosząc... Mnie na tem marszałkostwie trzymają na śmiech, gdy mi się dawno co innego należy.

— Ze mną gorzej, bo cale znać nie chcą—zawołał Krzysztof.

— Za rakuszanina cię teraz, jeżeli nie za Cara sługę mają—dodał marszałek.

— Myślę, że za ostatniego chyba — rzekł Krzychnik — ale mi obojętne oboje. Ja już nic z nimi nie spodziewam się dokazać, więc pozbyć się ich, to jedyna myśl moja, a przedewszystkiem Zamojskiego, bo ten tu osią, na której się ich roboty obracają.

— Teraz mu jako królowiątku buta urośnie! — wtrącił Andrzej i począł z innej beczki.

— Krakowaście nie widzieli teraz — dodał. — Zawczasu sie już gotują na obrzęd taki, aby o nim ludzie pamiętali. Krocie to kosztować będzie, gdy na wojnę pieniędzy nie ma.

Batorówna jeszcze w tym miesiącu od granicy

przybywa w orszaku znacznym, naprzeciwko której Andrzej Opaliński wyjeżdża.

Ze Spiglerowej kamienicy królestwo ichmość na owe sztuki, które się na rynku odbywać mają, patrzeć będą. Siła szlachty do turniejów stanie, a cudzoziemców i ciekawego tłumu Kraków chyba nie pomieści. Zaleją nas.

— Toćby dla rozumnego człeka najlepsza była pora coś przedsięwziąć—rzekł Krzychnik — bo djabła zjedzą, jeśli się upilnują i wszystkich znać będą. Ani król, ani hetman niebezpieczeństwa żadnego przeczuwać nie będą.

Andrzej obejrzał się z przestrachem i dał mu znak, aby milczał, a podczaszy też go usłuchał.

— Nie teraz, to później, puszczę na niego Samka, jak Samko puszczał niedźwiedzia na tego Włocha.

— A no patrz—odezwał się marszałek — aby jak włoch niedźwiedziowi, on się nie wyrwał, bo naówczas biada nam!

— Samko gorzej niedźwiedzia—rzekł Krzychnik—tegom pewny... do pierwszego spotkania...

Zaczem zamilkli oba, bo służba wieczerzę przyniosła, a z nią razem miejskie plotki, na które szczególniej podczaszy był łakomym. Opowiadano co się na zamku, co po mieście działo, i jak wszyscy, od biskupa począwszy, dwory swe, służbę, czeladź, wozy i konie, na nowo stroili, złocili, odświeżali, aby się z niemi popisali...

Starszym ludziom wszystko to mocno wesele Zygmunta Augusta z pierwszą jego żoną, o którem dotąd pamiętano w Krakowie, przypominało. Na wszystkich ustach było to porównanie, które w nieprzyjaciołach Zamojskiego, do najwyższego stopnia rozjątrzenie budziło.

— Teraz dopiero—mówili—podniesie głowę synowczyk królewski, że do niego przystąpić nie będzie można szlachcicowi, choć on sam z biednego szaraka wyszedł.

— Butę jego przykrócić trzeba — powiadali drudzy — inaczej oni we dwu z królem wszystką szlachtę w chłopów obrócą i sami się tu bez nas rządzić będą.

Krzysztof, gdy to słyszał mówiących w poufnem kole, dodawał, na swój młyn wodę prowadząc.

— *Propter absolutum dominium*, obawialiście się rakuszanina, a tenby się nigdy na wolności nasze tak nie ważył jako oni, i byłby nam siłę z sobą przyniósł przeciwko Turkom i Moskwie, gdy teraz on ich na nas poduszczać i wspomagać będzie, co się wprędce okaże.

Ciekawy, niespokojny, potrzebujący ciągle jakiegoś zajęcia, które całe się wszakże na zręcznie rzucanych słowach, zagrzewaniach i podbudzaniu drugich ograniczało, p. Krzysztof nigdzie się nie ukazując prawie, pozostał w Krakowie. Wiedział on, że hetmanowi i królowi na nieprzyjaciołach nie zbywało, chodził więc i sznurkował, azali co przedsiębrać nie myśleli.

Pan Audrzej przeciwnie, choć się na występ żaden, przy weselu nie gotował, jawnie po Krakowie chodził, okazywał się, i chciał przez to dowieść, że nic złego nie zamierzał, ani się obawiał o siebie i ukrywać myślał.

Gdy go drudzy zapytywali, czyli Zborowscy też obok innych nie myślą królowi i hetmanowi zalecić się tem, ażeby albo w turnieju czasu wesela, lub w maszkarach i popisach udział wzięli, odpowiadał marszałek.

— Dobrze to drugim czynić, co mają z czego, bo im król jurgieltu i starostw nie skąpi. Gdybyśmy Knyszyn mieli albo choć co mniejszego... A no zubożeliśmy i tak na usługach rzeczypospolitej, kasztelan Gdańsk królowi przywrócił, a co mu z tego przyszło? Będziemy się onym cudom przypatrywali ochotnie, dziwili i w ręce klaskali, ale my się do nich nie przyczynimy.

Marszałek i na zamek i do królowej chadzał, choć nigdzie miru wielkiego nie miał, wystrzegano go się i nie dowierzano. Choć więc przy królowej Annie było wielu, co do króla i Zamojskiego za nią żal mieli, nikt z pa-

nem Andrzejem się nie chciał wiązać, ani mu z tem wydawać.

Krzysztof we dnie tak jak nie pokazywał się wcale i urzędownie z bytnością swą w mieście nie występował. Do tych, z którymi znajomym był dawniej, wieczorami chodził lub w takich godzinach, aby się u nich nie spotykał z innymi. Wymykał się z Franciszkańskiej ulicy o mroku, niepostrzeżony, i albo sam lub z jednym sługą po mieście błądził. Ale miał tu swoich, co mu do domu przynosili wiadomości i cokolwiek po mieście chodziło.

Szły ztąd od niego mnogie listy do Samuela, które na to były przeznaczone, aby upokorzenie familii okazywały i do zemsty pobudzały. Znał podczaszy brata, iż jak płomienny ogień prędko gorzał igwaltownie ale krótko, więc i nienawiść do hetmana potrzeba było podsycać nieustannie, aby nie zagasła.

Miał w tem pomoc p. Krzysztof wielką w siostrzenicy ulubionej p. Samuela Włodkowej, tuż pod Krakowem w Piekarach mieszkającej, która z gorączką niewieścią podzielała wszystkie ich uczucia i myśli.

Różnie tam o tej wielkiej przyjaźni p. Samuela dla onej siostrzenicy mówiono, posądzając jego i ją, bo się jejmość młoda, przystojna, żywa, ruchawa, czynna, wcale nie ukrywała, że wuja jako bohatera wielbiła i równego mu drugiego nie znała na świecie.

Gdzie p. Andrzej i Krzychnik sami się obawiali iść, mówić a działać, tam Włodkową posyłali, która gotowa była na wszystko dla ukochanego Samuela. Aż nadto może daleko posuwała się jejmość, bo jej dom jawnem był zbiegowiskiem nieprzyjaciół hetmana i króla i ztąd na nich wszystkie baśnie i potwarze płynęły... tu się zbierali spiskujący...

Andrzej mnie się tu okazywał, bo ten zawsze jeszcze wyobrażał sobie, iż na dwu stolikach wysiedzi i za takiego jak bracia nieprzyjaciela zdeklcrowanego liczo-

nym nie będzie; w tem się mylił, bo jego, i politykę, jaką zachowywał, znano dobrze. Krzysztof nie mający nic do stracenia, niemal codzień do Piekar jeździł i tam woził, co pochwycił na bruku, a nawzajem dostawał języka o Samuelu, który i wrzekomo i na oko, aby ludzi zwieść (choć nikt w to nie wierzył) do Włoch się wybierał, zkąd już wcale powracać nie miał, jeżeliby się w Polsce rzeczy nie zmieniły.

Rozgłaszał to i p. Krzysztof ostentacyjnie, aby pokryć przygotowania, które ciągle czyniono, nawet czasu tych weselnych przyborów.

W Krakowie jednak przekonał się rychło podczaszy, że na teraz nic ani myśleć było przedsiębrać.

Szczęście pana hetmana, powodzenie królewskie w sprawie z Moskwą, w której po raz pierwszy oddawna, Batory silniejszym się okazał i groźnym, jak z jednej strony nieprzyjaciół budziło, tak z drugiej wielu nawracało, bo widzieli, że bezsilne ich pokuszenia przeciwko rozumowi i szczęściu Zamojskiego nic nie zdołają.

Drażniło go to niepomiernie, iż u wielu z tych, co dawniej na wilcze zęby wykrzykiwali i odgrażali się, a «*Nigrum Concilium*» Zamojskiego w błocie tarzali — teraz z pohamowaniem o jednym, z postrachem o drugim, z ostrożnością wielką o nich obu się odzywali.

Na pomocników czynnych widział, iż mało mógł rachować, samym im z Samuelem o sobie myśleć było potrzeba...

Brata tego na hyż wystawić i popchnąć bynajmniej się nie wahał podczaszy, miał go bowiem za straconego i tak, a chciał zużytkować, siebie o ile możności oszczędzając. Słał więc listy przez Włodkowę, ogień podkładając ciągle, a choć na teraz nic jeszcze przedsiębrać nie było można — po weselu znajdował chwilę bardzo dogodną, bo hetman się musiał ubezpieczyć i mniej być ostrożnym, po tylu dowodach, że miał pzzyjaciół licznych w całej rzeczypospolitej.

Tak stały rzeczy w domu przy Franciszkańskiej ulicy, gdy jednego wieczora, bólu zębów napytawszy przy wiosennej wilgoci, podczaszy zaszedł do Fontanusa lekarstwa nań szukać...

IX.

Gdy Fontanus jeszcze króbkę na plecach z olejkami nosząc, to po ziemi krakowskiej, to po Rusi, to po miastach się błąkał, wietrząc, gdzieby mu się osiedlić było najkorzystniej i najłatwiej, zaszedł raz i do Zborowa.

Gościł tam natenczas i Samuel, był i Krzysztof, Niemiec im zrazu służył za zabawkę, bo radzi się każdym nowym człowiekiem zabawiali.

Zachorzał jeden z nich, a nim fizyka z Krakowa sprowadzono, Fontanus się ofiarował z febry tej uleczyć, co mu się w istocie udało. Wpadł więc w łaski, a później gdy w Krakowie osiadł, Zborowscy o nim nie zapominali, ani on o nich.

Starał się osiedlony już tu Fontanus, aby przy królu miejsce aptekarza pozyskać, ale Zamojski nastręczył Włocha, niejakiego Arycho Caborto, który go ubiegł, czego Fontanus zapomnieć i przebaczyć nie mógł. Przyczyniło się do niechęci i to, że Włoch, który więcej może umiał, Fontanusa za nieuka i szalbierza ogłaszał, utrzymując, że wodę zafarbowaną zamiast eliksirów, a prostą glinkę miasto bolusów sprzedaje.

Ostrożny bardzo Fontanus nigdy się żadnem słów-

kiem nie wydał się z tem, co w sobie nosił, ale przeciw królowi i Zamojskiemu żal miał wielki... To uczucie go do Zborowskich zbliżało.

Spostrzegłszy pana Krzysztofa, którego zdawna nie widział, ucieszył się tem otwarciej aptekarz, iż nikogo świadkiem nie miał.

Natychmiast więc zęby podczaszemu opatrzywszy i płukanie dla niego przygotowując, począł z nim poufną rozmowę.

Krzysztof wiedział, iż się go wystrzegać nie potrzebuje.

— A co? — rzekł, siadając około stołu, na którym Fontanus lekarstwo gotował—a co? Zborowscy tedy doczekali tego, że nic w rzeczypospolitej nie znaczą! Poszliśmy na dno...

Fontanus spojrzał z za okularów.

— Mnie się zda—rzekł—że wy jeszcze zwycięzko na wierzch wypłyniecie...

— Trudno—odparł podczaszy.

— Boją się was—szepnął aptekarz — to najlepszy dowód, że siłę macie. Człowiek słucha różnych gadanin, chwyta różne wieści, bo ja tu jak na rozstaju siedzę, kędy wielu przejeżdża, a powiem wam, że was wcale jeszcze nie lekceważą...

— Zkądże te wieści?—spytał podczaszy.

Fontanus chciał się przypochlebić Zborowskiemu i nie wahał swego własnego utworu baśni podać na stół. Przyszło mu na myśl, że się Dzierżek o truciznę dowiadywał. Z tego łatwo było coś stworzyć.

— Miejcie się na baczności — dodał. — Samuela i was, gdy inaczej nie będą mogli, starać się nie omieszkają zgładzić wszelkim sposobem, choćby trucizną. Pana Samuela, choć gwałtowny jest, może się nie tyle lękają, co was. Wiedzą, że głowa i rozum rodziny, to wy...

Panu Krzysztofowi oczy się zaiskrzyły. Pochlebia-

ło mu to z jednej strony, z drugiej niepokój ogarnął, bo o swe życie i bezpieczeństwo bardzo był troskliwym.

— Fontanus!—zawołał przysuwając się — wy coś wiecie... Mów mi otwarcie. Szczęście, że mnie tu ból zęba sprowadził, inaczejbym o niczem nie wiedział.

Zmiarkował aptekarz, iż nazbyt pewno twierdzić o rzeczy pochwyconej nie wiedzieć zkąd, niebezpiecznem było i chciał się nieco wycofać.

— Nic ja nie wiem — rzekł—przedemną z niczemby się nie zwierzyli, ale się dużo domyślać można z oznak pewnych...

— Zatem praw mi, czego i na jakim fundamencie się domyślasz!—począł podczaszy.—Począłeś to kończ... ja cię już nie puszczę, aż się dowiem, co sądzisz...

Fontanus, choć w oficynie nikogo nie było, wysunął się z za stołu, zajrzał do drugiej izby, chłopca ztamtąd do alembików wyprawił i dopiero powróciwszy mówić zaczął.

— Jak się wam zda, panie podczaszy, ma kanclerz większego i jawniejszego w tej rzeczypospolitej nieprzyjaciela nad Zborowskich?

Zadumał się nieco Krzysztof.

— Nieprzyjaciół ma wielu—rzekł—ale my na oku i na wierzchu.

— No i co Zborowscy znaczą, to świat wie... z nimi się nikt nie może mierzyć—mówił dalej Fontanus. — Więc kiedy Zamojski się trucizną chce pozbywać ze świata, to pewnie nie kogo innego, jak podczaszego albo Samuela.

Krzysztof, który wcale mężnym nie był i zdradę wszędzie wietrzył, a obawiał się wszystkiego, poskoczył z siedzenia, a krew mu uderzyła do głowy. Nie mógł zrazu mówić, tak go to do głębi poruszyło. W gardle mu zaschło, jak gdyby już ową truciznę wspomnianą połykał.

— Zkądże wiesz, co kanclerz zamierza? — wybełkotał niewyraźnie. — Mów mi wszystko jasno i otwarcie. Jeżeli tobie ta myśl przyjść mogła, pewno nienadaremnie.

Fontanus mięszał właśnie dwa jakieś płyny bardzo gwałtownie i to mu posłużyło do zwleczenia odpowiedzi, nad którą się namyślać musiał. Podczaszy cały drżący z niepokoju i niecierpliwości, przechylił się aż przez stół ku niemu, jakby mu z ust chciał wyrwać odpowiedź.

— Mówże! mów!—nalegał.

— Przychodził tu do mnie ktoś — szepnął Fontanus — którego znam, że ciałem i duszą do kanclerskich sług należy, dowiadując się ostrożnie o truciznę... Zaraz więc pomyślałem sobie, że ona dla nikogo innego jak dla was przeznaczoną być nie mogła.

— Dałeś mu ją!—wykrzyknął przerażony podczaszy.—Tyś dla pieniędzy gotów na wszystko.

Uśmiechnął się szydersko aptekarz.

— Powoli!—rzekł—powoli! Za pieniądze wszystko w świecie dostać można, a nie wiem, czyby lepiej było, ażeby gdy u mnie jej nie dostanie, kupił gdzieindziej. Tamby mu prawdziwej dać mogli, gdy ja za truciznę dam taką rzecz, która nikomu nie zaszkodzi!

Spojrzał zwycięzko na podczaszego, który stał oniemiały.

Czas jakiś oba milczeli.

P. Krzysztof pomimo takiego obrotu rzeczy, który zdawał się go ubezpieczać, wcale uspokojonym się nie okazywał. Targał bródkę i wąsy, spoglądał na Fontanusa, który przelewając lekarstwo do flaszki, mówił dalej.

— Proszę was, baczcie na to, że naprzód ja pewności żadnej nie mam, ażeby ta trucizna dla was przeznaczoną była, choć zdaje mi się, że ona komu innemu pewno nie gotuje się, ino wam... powtóre, bądźcie pewni, iż odemnie oni nie dostaną za wagę złota nic innego, chyba Electuarium niewinne. W tem ich oszukać nie będę

miał na sumieniu, a gdyby mi to wyrzucać potem mieli, alboż nie ma antidotów? a przeciw tym ja nic nie mogę.

Zamyślił się ponuro podczaszy.

— Któryż to sługa kanclerza?—zapytał.

— Człek mały — odparł lekceważąco Fontanus— ale on posługuje panu Mroczkowi rotmistrzowi, który u kanclerza wiele waży i znaczy. Że z naprawy jego to uczynił to pewna.

— A dla mnie też i to pewna — dodał żywo podczaszy—że nie dla kogo innego trutkę tę zgotowali, tylko dla mnie. Przeciwko Samuelowi oni inny oręż mają, a nieprzyjaciół nad nas większych nie widzę.

Zlitujże się Fontanus, jakoś powiedział uczyń. Myśl twoja dobra i poczciwa. Truciznę sprzedać należy, aby jej gdzieindziej nie szukali, ja zaś ostrożnym będę na wszelki wypadek.

— A jeśli się po nią nie zgłoszą? — spytał Fontanus.

Podczaszy się zamyślił, pot mu powoli występował na czoło.

— Zalałeś mi sadła za skórę!—zawołał padając na krzesło. — Już się teraz niepokojowi o życie obronić nie będę mógł i gotowem im z oczów zjechać do cesarza, bo tam przynajmniej od trucizny ich będę bezpiecznym. Ale tu Samuela zostawić samego, bez porady i kierunku, znaczy i jego i naszą sprawę narazić na zgubę. Porwie się niezręcznie i odda im w ręce. Ja nad nim czuwać muszę, a bez niego...

Cały w myślach zatopiony Krzysztof nie dokończył, głowa mu zwisła na piersi, dumał. Fontanus rad był, że się z tem wygadał, na wszelki wypadek na nowo sobie zyskiwał Zborowskich, u których zawsze się mógł pożywić...

Nie było potem końca pytaniom i badaniom pana Krzysztofa, który zamiast powziąć wątpliwość co do powieści aptekarza, coraz się mocniej w tem utwierdzał, iż

nie dla kogo innego przeznaczono truciznę, tylko dla niego.

Musiał mu więc najuroczyściej zapewnić Fontanus, że uczyni jak obmyślił, i że natychmiast o spełnieniu obietnicy da znać p. Krzysztofowi do Piekar przez Włodkowę.

Rozmowa ta przeciągnęła się bardzo długo, tak że gdy podczaszy powrócił do domu na Franciszkańską ulicę, zastał już marszałka w łóżku i głębokim śnie pogrążonego.

Nie chciał jednak czekać jutra z oznajmieniem mu co przynosił, i zbudzić kazał wyrostkowi, który spał w progu.

Zamiast wszakże wiernie powtórzyć bratu, co posłyszał od Fontanusa i co się bardzo wątpliwem przedstawiało, wcale inaczej rzecz malował, niemal pewnie truciznę jako dla siebie przeznaczoną, przedstawiając i wielkie niebezpieczeństwo, na jakie był narażony.

Andrzej znał brata, a rzeczy tak gorąco nie brał do serca. Zawiązał się więc spór pomiędzy nimi, który trwał niemal do rana.

Nazajutrz najpilniejszem się zdało podczaszemu wybrać z tem do Piekar do Włodkowej, choć Andrzej odradzał, aby na babskie języki plotka nie poszła i przedwcześnie się nie rozgłosiła. Panu Krzysztofowi jednak niepodobna było podróży tej odradzić. Uparł się przy swojem i już chciał siadać na wóz, gdy niespodzianie ukazały się w ulicy dobrze znane kare woźniki pana gnieźnieńskiego i zwykły jego tabor podróżny. Ten gdy przybywał, wypadało zaniechać jazdy, a z nim, jako starszym się naradzić.

Choć to może nie na rękę było podczaszemu, który ze starszym bratem wcale się nie godził, bo nigdy go do swych posług, tak jako chciał zaprządz nie mógł, musiał kazać koniom swoim do stajni.

Wyszli oba z marszałkiem naprzeciw starszemu z rewerencyą i wprowadzili go do dworu.

Jan dosyć jasnego oblicza, wcale się tak jaki oni frasobliwym nie okazywał, owszem wesoło zagadnął ich i kazał się ludziom rozgaszczać, oznajmując braciom, iż przybył umyślnie, aby mówić z kanclerzem.

Tedy Krzysztof zakrzyknął:

— Z tym już mówić nie ma co? Obrusy między nami rozerznięte na wieki.

Gnieźnieński ramiony ruszał.

— Coś nowego?

Krzychnik, który już ledwie utrzymać się mógł, gorąco sprawę trucizny zagaił, a Jan jej z namarszczonem czołem słuchał. W czasie opowiadania najmniejszej nie dał oznaki, ani zdziwienia, ani oburzenia, raczej niedowierzania.

Im Krzychnik gwałtowniej nastawał i dowodził, tem on zimniej badał, pytania zadawał i przekonywał, że z muchy zrobiono wielbłąda i głupią mowę małego człowieka na ramiona kanclerzowi narzucono.

Podczaszy, który w to, co mówił, wierzył święcie, podrażniony był i gniewny, lecz z p. gnieźnieńskim nie szło tak łatwo jak z marszałkiem. Zganił porywczość i nakazał milczenie.

— Ani się waż tego w świat puszczać, co głupota i złość ludzka wymyśliły, bo mnie mieć będziesz przeciwko sobie.

Właśnieby mi to wszystkie moje zabiegi dla dobra waszego skrzyżowało Darmo tu nie przyjechałem, wiem, że kanclerz jest, widzieć się z nim będę. Chcę dla was i dla Samuela *occasione* wesela coś uzyskać i do zgody doprowadzić.

Nie przystało nam Zborowskim stać przeciwko temu, który rzeczpospolitą włada i zwycięzko ją broni, a przeciwko temu, który wkrótce jego synowcem się stanie. Na buncie i spiskach nie wygramy nic. Wiem, że

kanclerz pod ten czas łagodniejszego jest usposobienia. Chcę z tego skorzystać.

Andrzej nie oponował.

— Probujcie—rzekł—ale ja wam z góry prorokuję, że nas do łaski przypuszczając, chyba psim swędem zbyć będą chcieli, ja zaś się tem i lada jaką jałmużną zbyć nie dam.

— Zaprawdę, panie bracie — rzekł Jan — ryby to przed niewodem. Ja wam spodziewam się drogę do Zamojskiego otworzyć, a wy sami swoją sprawę przed niego i króla wnosić będziecie.

— Co do mnie—odezwał się Krzychnik—nie wierzę w to, aby mnie nawet *ad audiendum verbum* J. K. Mości dopuścili. A no, chcecie, probujcie. Ja się też lada łachmanem nie dam zbyć.

— A wszystko to—dodał—marne psowanie czasu. Kanclerz was gładkiemi słowy uchodzi, a z nami postąpi zdradziecko... W zgodzę między wilkiem a owcami ja nie wierzę. Oni krwie naszej pragną, i nie zaspokoją się, aż się jej napiją.

Pogniewał się pan gnieźnieński i naganił gadanie, jednakże skutkiem perswazyi jego, nieco się Krzychnik ukołysać dał i obiecał czekać.

Zaraz po południu posłał Jan na zamek u kanclerza o audyencyę osobno prosić, a tę mu nazajutrz wyznaczono.

Jechał tedy skromnie, jak zwykle z małym dworem.

Zaraz w sieniach go Heidenstein witał uprzejmie i do pana wprowadził. Zamojskiego znalazł jakby odmłodzonym, w usposobieniu ducha bardzo łagodnem i uprzejmem.

Zwycięzcę Gdańszczan powitał serdecznie i cieszył się, że go ogląda, a o sprawach wojennych mowę zagaił, szczególnie o piechocie nowej, którą z włościan królewskich wybierano, a król chciał rodziny żołnierzy od wszel-

kich powinności, opłat i ciężarów uwolnić, dając im darmo trzymać grunta, jakie mieli.

W ten sposób lud do służby wojskowej, której nigdy nie znał, miał się zachęcić.

Postrzegł jednak łatwo hetman, że Zborowski roztargniony myślami był gdzieindziej i dorozumiewając się że go tu może co innego sprowadziło, rozmowę na tor ogólnych spraw wprowadził.

Kasztelan z tego korzystając zaraz rodziny swej sprawę na stół wyprowadził, ukazując, że bracią jego niesłusznie posądzono i odsuwano od wszystkiego, że łacno ją król trochą dobroci mógł sobie pozyskać, a oniby mu się przydali.

Bronił szczególniej marszałka, iż zupełnie zaniedbany był, choć chętliwie służyć gotowy; uniewinniał Krzysztofa, iż go o zdrady i zmowy jakieś pomawiali nieprzyjaciele; naostatek i za Samuelem prosił, aby z niego banicyę zdjęto, bo jak w ukropie był kąpany, tak czasu wojny żołnierzem być mógł nieocenionym.

Kanclerz wogóle nie okazał się niechętnym, owszem z pewnem rozrzewnieniem rzekł:

— Wierzaj mi, panie kasztelanie, jam dziś nad zasługi szczęśliwy, więc i drugimbym, gdyby było w mojej mocy, nieba rad przychylił. Wierzaj mi, że uczynię, co w mojej mocy.

Co się tknie pana marszałka, ja mu u króla posłuchanie wyrobię. Wiem, że jurgieltu sobie życzy, i że król na moją prośbę mu go wyznaczy, ale skarb nasz chudy jest, szafować nie ma czem, a wojna za pasem. Króla pomawiają o skąpstwo; nie jest on skąpy, lecz nawykł do małego, a u nas też na wielkie nie trafił. Zda mi się wszakże, iż dla p. Andrzeja coś uczynić potrafimy. Dobierzemy chwilę dobrą... jam z serca pomódz gotów. Daleko trudniej będzie z panem Krzysztofem, przeciwko któremu złe są oznaki jego niechęci. Sprzyja on cesarzowi. pisze się wszędy »radą cesarską,« nie kryje z tem, że

króla nie lubi... król mu też płaci tąż monetą i trudno, aby w nawrócenie nagłe mógł uwierzyć.

Pomimo to ja i podczaszemu posłuchanie wyrobię, niech się tłumaczy a okaże, iż jest niewinnie oszkalowany. Zgody i pokoju w tej rzeczypospolitej nam nadewszystko potrzeba, abyśmy siły wspólnemi ją, wycieńczoną i zbolałą, podźwignęli.

Samuel niepotrzebnie na Niż się puszczał, jakby coś przeciw króla zamierzał. Król tem był rozjątrzony, ale nie stało się nic, powrócił, niechże spokojnie siedzi, a postaramy się, aby z niego zmyć ten dekret.

Że w tem siła trudności będzie, przewiduję, bo nie jednego pana Wapowskiego ma na sumieniu, dosyć innych skarży się na jego gwałty, mężów i kobiet. Nie może się uśmierzyć, choć wiekby był po temu...

Ja mu, dopóki banicya zniesioną nie będzie, nie życzę się pokazywać w mojej juryzdykcyi, bobym rygoru zażyć nie chciał, a musiałbym spełnić moją powinność... Przeciw dekretowi Henrykowemu niech się stara, ja pomogę, ale musi siedzieć spokojnie, a chce-li dokazować, niech na kresy rusza, gdzie wojna nierychło się skończy.

Znalazłszy kanclerza tak życzliwie usposobionym, niezmiernie się uradował pan gnieźnieński. Ze łzami w oczach począł mówić o rodzinie, która w rzeczpospolitej liczyła się do pierwszych, a dziś na dawnem stanowisku utrzymać się nie mogła. Biadał i narzekał, przyczem go kanclerz pocieszał tem, że wiele familij podnosiło się, rosło, ubożało i potem do pewnej przychodzlło świetności.

Tak z pół albo więcej godziny pogwarzywszy, gdy ks. biskupa krakowskiego oznajmiono że przybywał, kasztelan pożegnał go i wyszedł.

Jechał do braci z jak najlepszą myślą, z czołem wypogodzonem, a wszedł nucąc wesoło. Oba na niego oczekiwali.

Zdał im sprawę z poselstwa, ale obu było za mało tego co przyniósł. Ponieważ Zamojski tylko posłuchanie u króla wyrobić się obiecywał i ich własne żądanie popierać, ani marszałek, ani podczaszy nie czuli się w obowiązku iść mu podziękować.

— Zaczekamy skutku—odparł marszałek — a będzie-li za co, pokłonie się, darmo nie mogę, boby to wyszło na żebraninę.

— Ja też przed Zamojskim się oczyszczać nie będę — rzekł Krzychnik — upokorzyłbym się nadaremnie. Przed królem, co innego, nie będę się wstydał, musimy czekać. Pan Zamojski radby, widzę, przed weselem wszystkich rozbroić, aby je swobodnie mógł obchodzić. Juści kto ma szczęście się żenić z synowicą króla swojego, wiele dla drugich uczynić może, gdy Pan Bóg mu daje to, czego nikomu pono nie wyświadczył.

Dlatego jednak bacznym być na każdy ich ruch i krok nie zawadzi.

Ponieważ dla przyrzeczonej audyencyi oddalać się im nie wypadało, a król na łowy do Niepołomnic pojechał, i dopiero na samo wesele powrócić obiecywał, o czem różne złośliwe chodziły interpretacye, do których i pana Branickiego starostę mięszano, gdy dwaj Zborowscy nie mieli co w Krakowie robić, zmówili się do Piekar.

Dom ten siostrzenicy ich, wdowy, wesoły był, zawsze pełen gości, otwarty, a sama pani jeszcze wdzięczną twarzyczką i humorem przywabiała młodzież, tak, że często i ze skrzypkami ją najeżdżano. A że Samuel rad tu bywał i przesiadywał, a pani Włodkowa gorąco go broniła, posądzano ich o ściślejsze może niż były stosunki. To pewna, że gdy do Piekar przybył, trudno go ztąd było wyciągnąć, a poczynał tu sobie jak w domu własnym...

Dwór był drewniany na podmurowaniu, obszerny dosyć, ale tyle razy dobudowywany, poprawiany, rozszerzany, że nazewnątrz nieforemnie wyglądał. Ratowało

go to tylko, że drzewy, krzewami i kwiatami dokoła był obrosły.

Lecz, żal się Boże było ogrodu i dziedzińca, gdzie tylu gości codzień zjeżdżało. Naprzód na podwórzu, ludzie, konie i psy zostawiały po sobie tak wyraziste ślady, iż tu stróże raz w tydzień uprzątający je, nigdy nie mogli ich całkowicie zatrzeć.

Zgartywano kupy śmiecia pod stajnię, gdzie kury z folwarku przybywały grzebać i pożywiać się.

Nie o wiele lepiej było z drugiej strony w ogrodzie, kędy goście czasem poobiednie godziny spędzali, niewiele się troszcząc o czystość i porządek. Ale to wszystko wegetacyą bujną pobudzało, i krzewy a lipy bardzo się szeroko rozrastały. Sama gosposia na ogród nie miała czasu, gdyż albo zabawianiem gości swych, lub troską o przyjęcie zajętą bywała, przyczem dodać należy, iż śpiew a skoki lubiła bardzo, tańcom się oprzeć nie mogła. Dzieci też niedorosłych parka potrzebowała czujności.

Prawda, że oprócz gospodyni, fraucymer był nadzwyczaj liczny, co także dom dla młodzieży przyjemnym czyniło, bo szlacheckich dziewcząt ubogich zawsze kilka dorastających, ładnych i świeżych na dworze się znalazło. Gdy muzyka zagrała, one też szły do tańca, i bywało ochoczo a wesoło jak mało gdzie, a kilkoro panienek za mąż wydała pani Włodkowa. Choć kilku im też nie poszczęściło się.

Na kuchni w Piekarach dzień i noc ogień nie schodził, warzyło się i piekło nieustannie, a nastarczyć było trudno, bo ci goście niespodziani, których u nas zwano »panami z za morza,« mało którego dnia się nie stawili, a bywało ich pod czas cale nie oczekiwanych, i pięciu i więcej.

Pan Samuel nigdy samotrzeć nie przybywał, ale w pokaźnej komitywie.

Życie tu płynęło bardzo swobodnie i wesoło, a choć

wielcy i możni panowie na odjezdnem mu coś rzucą, ale by wolał datku się wyrzec i strachu.

Orszaki panów nie wszystkie były do siebie podobe, ani równie liczne, szczególnie jeden pomiędzy nimi liczbą, uzbrojeniem, końmi i przepychem celował. Ludzie też, z których się składał, dobrani, chłop w chłopa, zdawali się wszyscy do wojaczki stworzeni... i butę mieli okrutną.

Z dosłyszanych tu i owdzie wyrazów, gospodarz się dowiedział, że pomiędzy przybyłymi był kasztelan i inni dostojnicy. Zdawało mu się też, gdy czwarty przybył pod wieczór, że na niego oczekiwano, i zjazd w Borówce zmówiony był zawczasu. Dlaczego jego biedną szopę wybrano właśnie na tę jakąś naradę, żyd sobie wytłumaczyć nie umiał, ani się chciał domyślać. To pewna, że ani położenie jej ani droga, przy której leżała, nie usprawiedliwiały wyboru, chyba tylko zupełne osamotnienie wśród lasów, które tu niepostrzeżonym, swobodnie i bez oczu ciekawych zejść się dozwalało...

Najliczniejszy i najpokaźniejszy orszak, chociaż pan jego wiekiem nie był najstarszym, rej wodził widocznie, tak jak on sam w izbie najgłośniej przemawiał, najserdeczniej się śmiał i najsrożej huczał.

Rozmowa bowiem w serdecznych powitaniach rozpoczęta, wkrótce się niemal we wrzawliwy spór zmieniła.

Ci czterej podróżni, którzy w istocie do Borówki się zjechali naumyślnie, aby z oczów ludzi podejrzliwych zszedłszy, swobodnie się o swych sprawach naradzali, byli to czterej z ośmiu niegdy braci Zborowskich, synów tego Marcina, o którym głośne było onych czasów podanie, iż w życiu nigdy żadnej sprawy w sądach z nikim nie miał, bo jurystów i pieniactwa nienawidził, nienawiść swą posuwając do tego stopnia, iż palestrantów, gdy ich pochwycił «na rybnych stolech», wedle wyrażenia Paprockiego, bijał.

Rodzina była, wiadomo, tak stara jak sama Polska,

ale miała to we krwi ze wszystkiemi Jastrzębcami wspólnego, iż spokojnie darów Bożych używać nie umiała, a burzyła się i zrywała do rzeczy wielkich i trudnych, co prawie zawsze przypłacała boleśnie.

I chociaż ze krwi tej i plemienia wielce rozrodzonego, bo nie rzadko Jastrzębcowie miewali po szesnaścioro potomstwa, jak Marcin Zborowski, wyszło wielu mężów rzeczypospolitej zasłużonych i dostojeństwa wysokie piastujących, nie dobili się nigdy oni do takiego znaczenia, jakie inne rody pozyskały. Albowiem jeśli ojcu się powiodło, syn najczęściej tracił co on zdobył i na stanowisku się nie utrzymał.

Z Jastrzębców tego czasu już rozrodzonych a mnogie nazwy noszących od imion posiadanych, rozsypanych z Mazowsza począwszy po całym obszarze rzeczypospolitej aż do kresów jej, Zborowscy bodaj nie najznaczniejsze i najwybitniejsze zyskali stanowisko. Ani im majętności rozległych nie brakło, ani kolligacyj, które z pierwszemi domy w rzeczypospolitej łączyły.

Na animuszu też ichmościom nie zbywało, ani na męztwie, i nauki nie brakło, a wszystko psuła ta krewkość i popędliwość, dla której często jednej chwili tracili, uniósłszy się, co długiemi laty się odzyskać nie dawało.

I teraz właśnie w podobnem położeniu rodzina się znalazła, od czasu onego pamiętnego zabójstwa Wapowskiego i zajścia z panem Tęczyńskim, dla którego Samuel, mimo wdzięczności dlań Henryka króla, z kraju być musiał wywołanym.

Chociaż wiele sobie z tej banicyi nie czyniono, zwłaszcza od czasu ucieczki Henryka, a potem obioru Stefana Batorego, zawsze wyrok ten, wiszący mieczem Damoklesowym nad głową jego, dawał prawo pierwszemu lepszemu do nastawania na życie.

Tylko, że na Zborowskich się porwać, zwłaszcza na Samuela, nie lada człeka było potrzeba. Po ogłoszeniu banicyi, która całą rodzinę i przyjaciół jej przeciw królo-

grosza na nie wychodziło sporo, miała pani Włodkowa i po mężu majętności i z siebie posag, nie potrzebowała skąpić bardzo.

Marszałek i podczaszy jadąc tu nie oznajmywali się zawczasu siostrzenicy, wiedzieli, że się dla nich miejsce znajdzie a rada im będzie.

Zdala już w podwórcu konie i ludzie skupieni oznajmiali im, że gości zastaną; ale gościem, którego się tu wcale widzieć nie spodziewali (o nim się dopiero wszedłszy dowiedzieli) był Samuel.

Stęsknił się on za Włodkową, i dnia wczorajszego przybył swe wyprawy Niżowe jej opowiadać.

Gdy im szepnęła, że tu jest, zmarszczył się nieco marszałek, bo słyszał świeżo, iż kanclerz przestrzegał, aby jego juryzdykcyi unikać. Zawsze z tę banicyą rzecz była niebezpieczna, a choć Zamojski teraz lepsze okazywał usposobienie, oni mu nie dowierzali.

Ale Samko wyszedł przeciwko nim z tak bohaterską postawą, tak pewien siebie, a tak rozochocony już, że mu nic mówić nie chcieli...

Nie było ludzi, którychby się strzedz potrzebowali, zaraz więc pan Andrzej zagaił o panu Janie i o jego bytności u kanclerza, powtarzając to, co z sobą przyniósł...

Zżymnął się Samuel.

— Ho! ho! — rzekł — do zgody rękę wyciąga! do zgody! Cóż to się ma znaczyć? Nowa zdrada chyba!

Jeżeli który z panów braci ma ochotę im się kłaniać, nie wyjmując króla, wolna wola. Ja nie... Mamy z Zamojskim i Batorym za długie lata rachunek nieskończony, a bodaj się z niego nam nie im należy...

Musieliby się dobrze opłacić, abym ja im rękę podał.

U mnie jedno na myśli, albo pomsta, lub z kraju precz jadę, kędy oczy poniosą...

Żaden z dwu braci nie brał tak gorąco sprawy, poczęli go mitygować, ale się nie dał

— Waszmość oba zobaczycie—rzekł—że do mnie powrócicie, bo oni was oszukają. Ja przy swem stoję: króla sprzątnąć, a Zamojskiego ubić. Wówczas będzie wszystko skończone i Zborowscy cześć swą odzyskają, a miejsca, które im należą, nie jakieś tam liche urzędy, z których kilku koni wyżywić trudno, a wstydu się najeść może dosyta cała rodzina.

Pal ich djabli z ich zgodą! Ja im się nawet z gardłem prosić nie będę...

Tak się rozpoczęła rozprawa, przy której piękna a żwawa Włodkowa, jako zawsze Samuelowi potakiwała, tak i teraz stronę jego utrzymywała. I ona się na zgodę żadną i na branie jałmużny nie zgadzała.

Podziałało to tak na nieco zaledwie uspokojonego Krzychnika, iż i on przeszedł na ich stronę.

Zaczem języka już wstrzymać nie mógł i o truciznie a o Fontanusie historyę im opowiedział.

Tu dopiero powstał rumor niesłychany... Samuel święcie wierzył w to wszystko, co Krzychnik przynosił, a to mu służyło do poparcia własnych przekonań.

Andrzej milczał, i jak zawsze był ostrożny, nie zapędzał się za daleko...

— Macie najlepszy dowód ich dobrych dla nas chęci—wołał Samko — w tem, że mnie się każe mieć na baczności, abym w jego juryzdykcyę nie ważył się.

Więc cóż? Wziąłby mnie jako banitę, jak nieboszczyk ojciec Sanguszkę, i łeb zciął? Niedoczekanie jego. Gdy wiem co mnie czeka, wolę ja mu to samo zgotować... przyczem ani banicyi, ani dekretu nie potrzebuję. Wyzwę go na rękę i zarąbię.

Naówczas cała rzeczpospolita z pod jarzma tego uwolniona podziękuje mi, bo mało co a oni ją chłopską swą piechotą zawojują, a nam wszelkie swobody odejmą.

Rozumieją to wszyscy, choć nikt mówić nie śmie, ale się gęby otworzą, gdy ich nie stanie.

Wtem zwrócił się do Krzychnika.

— Wy chcecie do niego iść i o łaski się starać, probujcie, ale pamiętajcie, że was to spotka, co Ponętowskiego cześnika łęczyckiego na sejmie, który gdy szedł do ucałowania ręki królewskiej, i ręki mu się dać wzbronił i kołpaka przed nim nie uchylił, bo go znał sobie niechętnym. Ja się na to narażać nie myślę.

Krzychnik zmilczał.

— Jabym się o pocałunek nie upominał — rzekł pan Andrzej — byle mi ta ręka lepszy jurgelt wyznaczyła. Kochać go za to nie jestem obowiązany, bo to grosz nie jego, ale ze skarbu rzeczypospolitej. A tak mi się on należy dobrze, jak i drugim.

Na swoich węgrów, ptaszników, sokolników, koniuszych, ba psiarzy, na lutnistów, na wszelką gawiedź obcą ma pieniądz zawsze, dla nas go niema...

Królowej skąpią i trzymają jak na łasce, dawszy jej mazowieckie piaski i lasy, ale na wesele dla siostrzenicy, dla Bekieszów i nie wiem jak tam zowiących się węgrów, jest zawsze podostatkiem.

Skarb wyniszczyli zupełnie, a co się z temi skrzyniami stało, które Zygmunt August klejnotami nabite zostawił, dziś już nikt nie wie.

Tak szły narzekania jedne za drugiemi, a w końcu każdego ustępu Samuel do tego powracał, iż póty dobrze nie będzie, dopóki się od węgra z wilczemi zębami i od koźlich rogów nie oswobodzą.

— Niech panuje cesarz rakuzki, niech Car moskiewski, aby nie ten węgier. Damy sobie z tamtymi radę, bośmy już wiele przebyli, tylko tego nie bywało, aby szlachcic króla opanował i pod jego imieniem rządził.

Chłopi powiadają, że nie ma gorszego pana jak z muzyka, a ja mówię, nie ma gorszego króla jak ze swoich i to z tych, o których wczoraj świat nie wiedział.

Homo novus najgorsza rzecz, bo ten nic nie szanuje!!

Krzychnik okrutnie gorąco potakiwał bratu.

— Dajmy Andrzejowi szczęścia u króla probować, zobaczymy co on wskóra. I tak nam działać nie pora.

Na wesele damy im pokój, a po przenosinach zagramy do nowego tańca...

Samuelowi serce rosło.

— Zdajcie wszystko na mnie — wołał — ja was i kraj wyzwolę.

Kończyło się zawsze na tem *delenda Carthago*... Zamojskiego się pozbyć. Na to on się ofiarował.

Tymczasem Włodkowa, która już o wszystkiem wiedziała, bo jej tu codzień coś ktoś przywoził, liczyła jak z regestru tych, co się pierwszego dnia w turnieju potykać mieli, i te wszystkie, jak je zwano wówczas «kunszty,» z którymi się popisywać mieli przyjaciele kanclerza..., począwszy od Mikołaja Zebrzydowskiego, Stanisława Mińskiego, Joachima Ocieskiego.

Wszystko już ona spenetrowała, nawet jak Cupido miał być ubrany i kto czas miał reprezentować.

Śmiano się z tego, że po uroczystościach weselnych, Zamojski nie miał dokąd przenosin uczynić, tylko do pożyczanej sali na zamku, bo dworu własnego w Krakowie nie posiadał.

Tak przy bardzo dobrej myśli zwlokło się do wieczora, zwłaszcza gdy ten i ów z sąsiadów przybył jeszcze, a każdy coś łakomej nowin gosposi przywoził, która najbardziej o to się frasowała, aby w rynku mogła mieć okno, naprzeciwko Spieglerowej kamienicy, aby wszystko widziała i nic jej oka nie uszło.

Marszałek jej przyrzekł się starać o to, lecz niełatwe było zadanie, bo mieszczan wszystkich okna, drzwi i bramy zawczasu były pozamawiane. Rachowała tylko na to Włodkowa, że komu się uśmiechnie, gotów gwałt popełnić, a miejsce uczynić dla niej.

Późno w nocy wrócili ichmość z Piekar na Franciszkańską ulicę, ale kasztelana zastali jeszcze nad listami, które ekspedyował. Ten im oznajmił, że kanclerza

powtóre u ks. Myszkowskiego widział i znalazł go dla siebie bardzo dobrze usposobionym. Z królem mówić w interesie rodziny jeszcze raz przyrzekł i swoje *bona officia* ofiarował.

Andrzej i Krzysztof spoglądali po sobie, ostatni jednak uśmiechał się niedowierzająco, i nie chcąc drażnić, nie oponował, ale był pewnym, że dla niego i pana Samuela król łaskawym być nie zechce.

— Ja zaś trzymam — odparł pan gnieźnieński — że kwoli tej uroczystości, której pragnął, łagodzić zechce i jednać wszystkich, z czego i my skorzystamy.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

MUZEUM
JIK
KOMANOWIE
305

wi rozżaliła i zburzyła, wyjechał był pan Samuel trochę zagranicę i tułał się, ale pańskim obyczajem z pocztem wielkim, po różnych dworach zagranicą.

Wtedy, powiadano, i do Siedmiogrodu do Stefana Batorego zawędrowawszy, miał mu pierwszy myśl poddać starania się o polską koronę i poparcie swoich znaczne zapewnić.

Prawdą to było czy nie, pewna, że po wyborze Stefana, chociaż banicyi z niego nie zdjęto, Samuel po kraju jawnie się nosił, jeździł, na zgromadzenia szlachty bezkarnie się stawił, a nawet, co królowi tajnem być nie mogło, na wyprawę moskiewską pod Połock z ludźmi się stawił i nikt mu nie rzekł słowa.

Rzec tedy było można, że banicya na nim przyschła i jest tylko zagojonej rany blizną. I takąby ona może w końcu się stała, gdyby niespokojny umysł Samuela i braci jego nie rozjątrzył starego bólu na nowo.

Wzrost nagły Zamojskiego, którego Zborowscy pogardliwie «Szarakiem» nazywali, chłodne przyjęcie ich przez króla i odmówienie jurgieltu i urzędów, jakich się spodziewali, Zborowskich do takich kroków popchnął, iż z Zamojskim, a przez to i z królem samym, w otwartą popadli wojnę.

Wiadomo, jak pierwsze początki panowania swego król Stefan trudne miał, które tylko z pomocą zręcznego i śmiałego Zamojskiego, a własnej energii i tęgości charakteru, potrafił zwyciężyć i im podołać.

Znaczna część województw w początkach nowego króla znać nie chciała, przy wybranym Rakuszaninie stojąc, i dopiero zwycięztwo nad Gdańszczanami odniesione, szczęśliwa wojna z Carem moskiewskim, sejmy, mimo burzliwości pokonane, śmiałość postępowania, szlachtę szemrzącą i niechętną do milczenia i powodowania się zmusiły.

Wszystko to solą w oku było Zborowskim. Jeden z nich najstarszy, Jan, kasztelan gnieźnieński, przy królu dotąd stojąc wiernie, do upokorzenia zbuntowanych Gdańszczan wielce się przyczynił. Żądali więc i za to i za swe zasługi przy elekcyi, aby ich dostojeństwy obsypywano i obdarowywano... Oparł się pono temu Zamojski, nie żeby zazdrosnym był, ale że w nich warchołów znał i obawiał się, a chwila była, w której nie tyle buty i zuchwalstwa, co karności wielkiej potrzeba było.

Krom więc spokojniejszego Jana, reszta rodu z Samuelem i Krzysztofem na czele, coraz dobitniej i głośniej, z tem się nie kryjąc, przeciwko królowi i Zamojskiemu knuć zaczęła.

Dochodziło to przez usłużnych ludzi do uszu hetmana, a przez niego do króla, ale w początkach gardzono pogróżkami, a środków żadnych przeciwko językowi rozpuszczonemu nie przedsiębrano, bo dotąd na języku wszystko się kończyło.

Ten i ów prawił o spiskach jakichś i opowiadano, że czasu koronacyi w Krakowie już Samuel rozżalony do króla strzelać chciał i ku temu namawiał.

Z Zamojskim, okrom Jana Zborowskiego, żaden z nich nie przestawał i za nieprzyjaciela rodu swojego głosili hetmana, nie szczędząc mu potwarzy.

Im Zamojski więcej rósł i wyżej się podnosił, a królowi był milszym, bo prawą jego ręką był i pierwszym sługą a przyjacielem, tem nienawiść ku niemu rosła w sercach panów Zborowskich.

Stał przed nimi żelazny ten mąż jak zapora, przez którą do majestatu dostąpić nie mogli.

Donoszono hetmanowi, co knowali i jak się odgrażali Zborowscy, szeptano im, jak wzgardliwie te pogróżki przyjmował — i obie strony coraz więcej animozyi przeciwko sobie nabierały.

Jeden tylko Jan gnieźnieński wiernie po stronie królewskiej stojąc, choć pragnął braci pohamować, nie zdołał.

Wojna z Moskwą właśnie pokój z Turkami i Tata-

rami czyniła pożądanym, gdy myśl przyszła niespokojnemu Samuelowi opuścić kraj, iść na Niż do kozaków i próbować, ażali mu się nie uda nad nimi władzę sobie wyrobiwszy, z tą potęgą stanąć królowi w poprzek jego zamiarów...

Jak zawsze był Samuel gorącym i niecierpliwym, gdy mu myśl jaka, zła czy dobra, w głowie zaświtała, tak i teraz, naprzód ludzi swych ku Niżowi sprawiwszy, aby rozpatrzyli się między onem kozactwem, gdy mu nadzieję przyniesiono, że tam wiele uczynić było można, męztwem a szaleństwem i twardem życiem, na które Samuel rad się ważył, począł głośno i jawnie na Niż się zbierać i ludzi ściągać.

Była to w życiu Samka chwila taka, o której on sam czuł i wiedział, że szale na stronę wielkiej fortuny lub zguby przeważyć mogła. Za młodu wszystkiego zażywszy i nadużywszy aż do szaleństwa, poczynał gorycz czuć we wszystkiem, nic mu już nie smakowało. co dla niego było dostępnem. Na sumieniu, jak ludzie powiadali, co nikomu tajnem nie było, wiele miał.

Trojga dzieci matka, żona jego, umęczona niesprawiedliwemi doniesieniami i podejrzeniem, obchodzeniem się nieludzkiem przywiedziona do rozpaczy i choroby, zmarła była; którą wspominając, często łzy miewał na oczach, a jedyną córkę, jaka mu została, bardzo do niej podobną, czule kochał, choć i synom miłości nie skąpił.

Serce bo to było równie do nienawiści namiętnej, jak do miłości szalonej skłonne, którego że nigdy hamować ani próbował, ani umiał, ani teraz mógł, wiodło go ono gdzie chciało — równie na dobre drogi jak na manowce.

W tych godzinach, gdy go ogarniał szał, a człek mu bodaj palca zakrzywił, ubić był gotów bez rozmysłu, a potem za lada usługę po królewsku nagrodzić i życie ważyć przez wdzięczność.

Złym i zepsutym dotąd nie był, dopiero go gryząca

przeciwko Zamojskiemu nienawiść i złość bezsilna poczynała psować—a wpływ też bratą Krzysztofa nad nim się odzywał.

Nim go bliżej poznamy, o tym bracie najmłodszym słowo powiedzieć należy.

Zarzucano wiele Samuelowi, bo na oku był, a od zabójstwa Wapowskiego smutnej nabrał sławy i sądzono go do wszelkiego zła skłonnym. Prawda, że pomiarkowania nie miał, że gęby nie strzymał tak samo jak ręki, że często więcej nią grzeszył niż czynem, a dwór jego i przyjaciele, sądząc że go wynoszą, wieszali na nim najgorsze łachmany wymysłów własuych—ale z całą szparkością i krewkością, butą i porywczością Samuel szlachetnego coś w sobie zachowywał i w pierwszej chwili zawsze ku dobremu go serce wiodło, choć potem głowa na bezdroża wpędzała.

Wielce do niego na oko podobny Krzysztof, bo i z twarzy i z ducha, z mowy i z ruchu Samka przypominał, daleko od niego był gorszym.

Temu chciwość i ambicya godziny spokojnej nie dawały, a zawiść serce mu jadła gdy cudze powodzenie widział, wreszcie tego był przekonania, że gdy się człek *per fas et per nefas* wysoko dobił, wszystko mu będzie przebaczone. Dla sukcesu gotów też był na wszystko...

Wiedzieli szczególniej bracia, że Rakuszaninowi służył wiernie i płacić sobie kazał za to, bo na grosz chciwym i łakomym był niepomiernie; chodziły pogłoski nie próżne, że z Carem moskiewskim miał konszachty... Ale gdy Ościka ścięto, a ludzie się przekonali, że król Stefan i w karmazynach chodzącej zdradzie nie folguje, uciszono te wieści, bo to gardłem pachniało...

Ci, co go lepiej znali i wiedzieli co zacz był, mówili, że tak samo djabłuby służyć był gotów, byle mu jurgielt i bogactwa zapewnił.

Taż sama gorąca i niecierpliwa natura, która u Samuela wybuchała niepowstrzymywana, kipiała i w Krzy-